POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

LA POLOGNE EN LUTTE — HEBDOMADAIRE MILITAIRE — PRIX UN FRANC

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 28-go kwietnia 1940 r.*** **Rok II. — Nr. 12.**

Hasło tygodnia:

O Polskę i polskość walczy się nie tylko karabinem, ale i polskim słowem, ale i oświatą w duchu narodowym. Karabin wywalczy ziemię, odda jej wolność, nada jej wielkość. Dzięki oświacie — ziemi polskiej, jej wolności i wielkości strzec będą Polacy świadomi swoich zadań, rozumni i silni.

„ORZEŁ"

Dzienniki francuskie, a za nimi polskie, doniosły, że dnia 9 kwietnia w walkach na wodach norweskich Okręt Rzeczypospolitej Polskiej „Orzeł" zatopił transportowiec niemiecki „Rio de Janeiro". Znajdowało się na nim ponad 300 żołnierzy niemieckich, którzy jako desant mieli być wysadzeni w jednym z portów Norwegii.

Później doniesiono jeszcze o zniszczeniu przez naszą dzielną jednostkę morską jednego kontrtorpedowca i trzech statków przewozowych Rzeszy.

Jest to ta sama łódź podwodna która — tropiona zaciekle przez marynarkę niemiecką — dostała się do Tallina, a stamtąd — bez przyrządów nawigacyjnych, bez map morskich — zdołała się przedrzeć w brawurowej podróży do Anglii, gdzie w dalszym ciągu pełni służbę wojenną pod flagą Rzeczypospolitej w składzie najpotężniejszej i najpiękniejszej floty świata, floty J. K. Mości, króla i cesarza Jerzego VI.

Powszechnie już są znane bohaterskie wyczyny poszczególnych żołnierzy polskich podczas wrześniowej i październikowej kampanii 1939 roku. Od października działania wojenne Polski zanikły prawie zupełnie, bitewne wyczyny zamieniły się na ciężką pracę organizacyjną, gdzie trzeba było od podstaw nieomal tworzyć na nowo szeregi Armii Polskiej. Chwilowo żyliśmy wspomnieniami czynów żołnierzy, które zasłużyły sobie na uwiecznienie po wszystkie czasy w historii walk polskich.

Parę miesięcy temu, jak promień z jasnego nieba, przyszła do nas wiadomość, że nasz kontrtorpedowiec O.R.P. „Grom" zatopił podwodne łodzie niemieckie. Po tym znów cisza. Wiedzieliśmy tylko tyle, że nasze wspaniałe okręty, wspólnie z okrętami J.K. Mości, patrolują północne szlaki morskie, o żadnych specjalnych wyczynach wiadomości nie mieliśmy. Niedawno przeżyliśmy wspaniałą chwilę odlotu pierwszych naszych eskadr bojowych na front, wierzymy, że lada dzień, lada godzina usłyszymy o nich, jak przy boku powietrznej floty francuskiej i R.A.F. będą z całą pewnością zadawać ciężkie straty Niemcom.

I dziś nowy promień. Promień radosny, tak dawno oczekiwany, tak bardzo wymarzony. Nasz okręt podwodny, choć w części pomścił nasze dotychczasowe krzywdy, niszcząc ponad 300 żołnierzy niemieckich; choć w części zapłacił za to, co cierpi z dnia na dzień nasz Kraj, nasi żołnierze w niewoli, cała Polska jak szeroka i długa.

My, tu na lądzie, wierzyliśmy zawsze, że chwilowo jedyne polskie siły walczące i to walczące na morzu przyniosą znów karty chwały do ogólnego dorobku wojennego.

Była wiara, wielka wiara w Polsce w zwycięstwo. Wierzyliśmy w to, co mówił nam wódz, że jesteśmy silni, zwarci i gotowi.

Tak — Naród był silny duchem, zwarty w jednej myśli i chęci zwycięstwa nad wrogiem, gotów do największych ofiar. Naród zdał egzamin wrześniowy i zdaje go dziś. Nie Naród Polski przegrał kampanię wrześniową; nie Naród Polski jest winien, że nie przewidział, jacy ludzie stoją na jego czele; wierzył, bo go okłamywano. Wiara została złamana. Nad Polską poczęły płynąć dni potworne, dni straszne, dni, wobec których zagony tatarskie, potop szwedzki, powstania porozbiorowe, wydają się nic nie znaczącymi epizodami w dziejach Narodu Polskiego. Zabrano nam to, co jest najcenniejsze, najświętsze w sercu każdego człowieka. Zabrano nam wiarę.

I dziś ta wiara powraca znów do serc naszych. Wyczyn „Orła" — jakże podnosi duchowo cały Naród Polski, jakże upewnia nas o chwilowym tylko naszym nieszczęściu, jakże przybliża godzinę powrotu naszej floty na Bałtyk, jakże przybliża godzinę zwycięskiego zakończenia wojny.

Łączymy się w jednej modlitwie. Prosimy Boga, aby nasza marynarka wojenna miała nie jeden jeszcze taki sukces; aby jej imię, które już jest sławne na całym świecie, opromieniały nowe wyczyny; oby Bóg strzegł naszych marynarzy, nasze okręty, oby ich wszystkich bez wyjątku zwrócił po wojnie Ojczyźnie, matkom, ojcom, braciom i siostrom.

Myślami jesteśmy z nimi. Gorące życzenia płyną dla nich z całej polskiej ziemi i zewsząd, gdzie tylko są Polacy. Chcemy ich zapewnić, jak bardzo są nam bliscy i drodzy, jak bardzo jesteśmy im wdzięczni za ich, nad siły nieraz, ciężką pracę. Jak bardzo jesteśmy im wdzięczni za przykład, jaki nam dają, jak walczyć za Ojczyznę trzeba.

Wierzymy wszyscy, że i ci, którzy na szlakach podniebnych bić będą wroga wykonają swoje zadanie doskonale, że biało-czerwona szachownica na skrzydłach ptaków polskich będzie takim samym postrachem dla wroga, jak już dziś postrachem jest królewska Władysławowska bandera z ramieniem ubrojonym w miecz. Wierzymy również, że odtworzone nasze pułki armii lądowej, gdzie by się nie znalazły w walce z nieprzyjacielem przyniosą chwałę swemu imieniowi, wojsku narodowemu i Polsce.

Jedno szczęście i jeden przywilej ma marynarka polska. W tych ciemnych, tragicznych dniach bytu Kraju naszego, ona pierwsza zaczęła odnosić prawdziwe zwycięstwa, ona pierwsza daje najpiękniejsze przykłady poświęcenia i bohaterstwa i tego jej nikt nigdy nie odbierze. Najdzielniejszym z dzielnych marynarzom polskim składamy hołd, wyrazy największej miłości i z całego serca ślemy im podziękowanie za to piękne zwycięstwo, które osiągnęli w dniach może przełomowych tej drugiej wojny światowej.

Janusz Sopoćko

...mamy jeden Akt przeszłości, jedno prawo pisane, które zgłębiać, którego duchem przejmować się należy. Bo to prawo nie wypadło z głowy pojedyńczego mędrka, z ust kilku rozprawiaczy, ale wyjęte było z serca wielkiej masy, nie czerni się tylko na papierze, ale żyje dotąd w pamięci, w życzeniach pokoleń; jest więc prawem żywym, zakorzenionym w przeszłości; mającym się rozwinąć w przyszłości! Mamy Konstytucję 3-go Maja.

Dziwna to rzecz i godna uwagi, że od 1791 r. tyle Europa widziała konstytucyj długo dyskutowanych, wydziwianych, zapomnianych. Francja strawiła ich kilkanaście. Włosi, Niemcy, Hiszpanie i Napolitanie przysięgali im, wyklinali je, a teraz wyśmiewają i gardzą nimi. Jedna Konstytucja 3-go Maja szanowana w narodzie polskim. W czasie długiej niewoli, dzień jej ogłoszenia obchodzono potajemnie we wszystkich prowincjach dawnej Polski, od Karpatów aż do Dźwiny, w domach, w kościołach, na zgromadzeniach młodzieży. Nie pochodziło to tylko ze czci dla umarłych, nie stąd, że Konstytucję 3-go Maja zaraz po narodzeniu zabito; bo wielu było podobnych nieboszczyków, a żadnemu nie sprawiano i nie sprawiają, podobnych egzekwii.

...jest drugi żywioł w Konstytucji 3-go Maja.... żywioł narodowy, dziecko tradycyj dawnych, karmione nowymi ówczesnymi potrzebami i życzeniami narodu. Tego żywiołu nie wytrawiło kilkadziesiąt lat niewoli. Stąd słusznie i pięknie powiedziano, że Konstytucja 3-go Maja jest politycznym testamentem dawnej Polski.

Jakież były ówczesne życzenia Polski? Położyć koniec bezładowi szerzącemu się między psującą się szlachtą przez wzmocnienie władzy centralnej z jednej strony, z drugiej przez rozszerzenie praw obywatelstwa na wszystkie klasy ludu; odzyskać niepodległość i stracone stanowisko w Europie przez ugruntowanie w Polsce zasad wolności, śmiertelnych despotom, nieprzyjaciołom Polski.

...Skoro wypadki wezwą do działania naród polski,komu Opatrzność pozwoli mieć wpływ na losy jego, niech ten szczęśliwy człowiek zajrzy jeszcze w Konstytucję 3-go Maja. Może w niej więcej, niż my wyczyta; my wyczytujemy kilka kardynalnych życzeń narodu, dotąd jeszcze odzywających się.

Pierwszym życzeniem jest : wojna ze wszystkimi ciemiężycielami Polski. Bo Konstytucja nigdzie nie gwarantuje zaborów dawnych, owszem protestuje przeciwko nim przez wszystek swój układ; kiedy pseudokonstytucja Aleksandrowska opiera się właśnie na podziale Polski.

Drugie życzenie: propagandy wolności, jeśli nie jest wyrażone tegoczesnym językiem politycznym, daje się czuć w duchu Konstytucji. Jeden z jej artykułów powiada, że każdy kto wejdzie na ziemię polską, wolny jest. Ten artykuł dalej sięga w przyszłość, niż wszystkie konstytucje europejskie.

Trzecim życzeniem narodu jest: rozszerzenie wolności na wszystkie klasy narodu; rozumiemy tu przez wolność, pełność praw obywatelskich.

Na koniec, Konstytucja 3-go Maja nadawała wielką obszerność i moc władzy najwyższej. Kto będzie umiał zgadnąć wolę mas, temu naród w Polsce da władzę wielką, tym silniej działać będzie, im lepiej wyrażać zdoła myśl narodu polskiego, rozszerzać wolność.

ADAM MICKIEWICZ

(„Konstytucja Trzeciego Maja" druk. w „Pielgrzymie Polskim".)

ROCZNICA

Rocznica Konstytucji 3 Maja była przez długie lata święcona w Polsce, jako rocznica odrodzenia wewnętrznego. Widziano w Konstytucji dowód, że Rzplita Polska umiała wydobyć się z ustroju, który pozbawiał Ją siły i sprawności w rządach, że umiała pozbyć się swoich błędów, złych praw i złych obyczajów, że wreszcie uprzywilejowani potrafili wyrzec się swoich przywilejów, aby dzięki ich wyrzeczeniu wzmocnić Państwo.

Tak świętowano Rocznicę Konstytucji 3 Maja przez sto kilkadziesiąt lat niewoli. W Polsce odrodzonej, a zwłaszcza w Polsce, która zwycięstwem swoim w 1920 roku ocaliła całą Europę przed groźbą wojen i przewrotów — rocznica Konstytucji 3 Maja nabrała odmiennej treści. W kraju, który już odzyskał swoją niepodległość i przypieczętował ją samodzielnie odniesionym, wspaniałym zwycięstwem — można i trzeba było w tę rocznicę nie tylko wspominać Konstytucję Majową, jako dowód odrodzenia wewnętrznego — ale także rozważać i badać, czemu przyszła za późno, czemu, stała się pretekstem do wkroczenia sił nieprzyjacielskich, czemu — nie wszedłwszy właściwie nigdy w życie — stała się tylko symbolem żywotności narodu polskiego zamiast stać się rzeczywistą podstawą nowego rozwoju. W okresie więc dwudziestu lat niepodległego życia rocznica Konstytucji 3 Maja, nie tracąc charakteru uroczystego święta odrodzenia wewnętrznego Polski przedrozbiorowej — stała się również godziną rachunku sumienia. Rachunku sumienia, czy w zmartwychwstałej Polsce nie powtarzają się błędy, które dawną do upadku przywiodły.

Dziś rocznica ta przypada w czasie wojny. W czasie wojny, której pierwsza bitwa rozegrała się na terenie Polski i zakończyła się, po krótkiej, lecz nad wyraz krwawej, ciężkiej, bohaterskiej walce wojska i narodu najprzód z potęgą niemiecką, a później z potęgą niemiecką i rosyjską — rozbiciem armii polskiej i okupacją całego terytorium państwa przez wrogów. W takiej chwili inne znów myśli nasuwa ta sama rocznica.

Pierwsze pytanie, jakie narzuca się w tym dniu z nieodpartą siłą — to pytanie, czy jesteśmy dziś świadkami czwartego rozbioru Polski? To znaczy, czy pomiędzy obecną okupacją Polski przez Niemcy i Rosję, a podziałem Jej między te same państwa przed 150 laty — istnieje rzeczywista tożsamość? Czy mamy do czynienia ponownie z tym samym zjawiskiem i to zrodzonym z tych samych przyczyn — czy też mimo tragicznego podobieństwa są tu zasadnicze różnice?

Cierpienia Polaków dzisiaj są niewątpliwie po stokroć większe, los ich po stokroć gorszy, niż to było po upadku Polski przedrozbiorowej. — Wrogowie są bardziej barbarzyńscy i okrutni, celem ich zdaje się być nie tylko opanowanie ziem polskich, ale i zniszczenie narodu polskiego. Rozbiory były utratą ziemi, pożywienia, często życia. A jednak, jeśli szukać uczciwej odpowiedzi na te pytania w sumieniu — to odrzec trzeba, że dziś jest po stokroć lepiej, niźli było wówczas.

Po pierwsze — w czasach rozbiorów — wrogowie znaleźli sojuszników w łonie narodu polskiego. Katarzyna II i król pruski mieli przed tronem swoim takich Polaków, którzy wzywali ich do interwencji, zapraszali wojska rosyjskie, niemieckie, czy austriackie do Polski. Dziś Hitler i Stalin na próżno szukają w Polsce zdrajców — nie znaleźli *ani jednego*. Nie znaleźli ani przed wojną, ani po starciu orężnym. Mimo, że zajęli kraj — nie poddał się im on. Stalin nie mógł znaleźć swojego polskiego Kuossinena, choć znalazł go dla bohaterskiej Finlandii. Co więcej — musiał zamykać do więzień nawet tych nielicznych Polaków, którzy uważali się zawsze za komunistów, bo i ci nie chcieli mu pokornie służyć. Tak samo Hitler nie znalazł w Polsce swego Hachy, ani swego Tisy, ani swego Quislinga — tak jak znalazł ich w Czechach, Słowacji a nawet w Norwegii. Nie znalazł również rezygnacji i poddania, jakie spotkały najazd niemiecki w nieszczęśliwej Danii. Przeciwnie i jeden i drugi wróg napotkał opór. Najprzód opór zbrojny. Później uparty, ciągły i zacięty opór już pokonanego narodu — opór, który rozpoczął się od pierwszego dnia okupacji i trwa nieprzerwanie.

Sto kilkadziesiąt lat niewoli i tyle samo lat bezustannych walk o niepodległość, dwadzieścia lat wolnego życia i zwycięska wojna o granice własne i granice Europy — odrodziły więc charakter Polski. Nie ma dziś Polaków, którzy by interes własny stawiali wyżej, niż wierność Ojczyźnie. To jest pierwsza olbrzymia i zasadnicza różnica między okresem rozbioru Polski a dzisiejszą Jej okupacją przez wrogów.

Następna różnica tkwi w położeniu międzynarodowym. W czasie rozbiorów Polska była osamotniona. Rozbiór Polski w XVIII-ym wieku dokonał się śród obojętnego milczenia Europy. Zaprotestowała Stolica Apostolska, nie uznała rozbioru Turcja, sama lękająca się Rosji — i to było bodaj wszystko. Nikt z powodu wkroczenia wojsk obcych w granice Rzplitej nie powołał pod broń ani jednego żołnierza, nikt nie wypowiedział wojny ani Prusom, ani Rosji. Świat może współczuł — ale nawet nie protestował. Rozbiór Polski był sprawą skończoną i zamkniętą na długo, — nie zaś jednym aktem jakichś olbrzymich przeobrażeń światowych.

Obecnie Polska weszła do wojny, jako pełnoprawny uczestnik wielkiej koalicji, jako sojusznik najpotężniejszych narodów świata, weszła w wojnę, w której waży się los całej Europy. Okupacja Polski nic nie zamyka, nic nie kończy. Jest strasznym ciosem dla nas, jest dopustem, na który może mimo wszystkich wad, jakie mamy i błędów, jakie popełnialiśmy nie zasługujemy, ale ten zbójecki najazd jest tylko wynikiem pierwszej bitwy, nie zaś końcem zmagań. W XVIII-ym wieku pod ciosami wrogów runęło osamotnione Państwo, zajęte zostały jego terytoria, rozwiązane albo uwięzione wojsko, abdykował król, przestał istnieć rząd.

Obecnie najeźdźcy zajęli teren Polski — ale nie przestał istnieć rząd Rzplitej i nie przestało istnieć wojsko polskie. Polska nie została wykreślona z mapy Europy — została tylko zajęta przez wrogów, podobnie jak to stało się podczas wojny 1914 roku z Belgią, a później z Serbią. A tam, gdzie istnieją ważniejsze instytucje państwowe: Głowa Państwa i legalny Rząd, do którego rozporządzeń stosują się z dobrą wolą obywatele, gdzie istnieje wojsko posłuszne własnemu Rządowi, własnemu Naczelnemu Wodzowi — i im tylko — tam istnieje Państwo, choćby całe jego terytorium zajęte było przez siły wrogie.

A dalej — nie tylko my nie zgadzamy się z tym stanem rzeczy, jaki powstał przez najazd i okupację — ale nie uznał go nikt na świecie prócz samych najeźdźców. Tak, jak niegdyś nikt, poza Stolicą Apostolską nie chciał lub nie śmiał protestować przeciw rozbiorowi — tak dziś nikt, nawet najbardziej lękliwi sąsiedzi Niemiec czy Rosji nie ośmielają się uznać prawości ich zbójeckiego dzieła, bo wszyscy wiedzą, że wojna jest zaczęta dopiero, że nie wiadomo, czy ten kto dzisiaj triumfuje nie wyjdzie z tej wojny zdruzgotany. Nie dawno wraz z posłem angielskim i francuskim odjechał z zajętej przez Niemców Danii także i poseł polski. I wolno nam przypuszczać, że kiedy urzędujący u siebie, w Kopenhadze, urzędnicy duńskiego ministerstwa Spraw Zagranicznych żegnali odjeżdżającego przedstawiciela Polski — to musieli czuć, jak dalece jaśniejsza jest przyszłość Polski, przyszłość tego kraju, który przeżywa najokrutniejszy ucisk, kraju, w którym nie ma nie rozbitej rodziny, nie zniszczonego życia, kraju spalonych miast i wsi, kraju, w którym ludzie są wygnańcami na własnej ziemi — jak dalece przyszłość tego kraju jaśniejsza jest, niż przyszłość Danii, w której dotychczas nie uszkodzono nie tylko jednego domu, ale jednego cacka, w której wszyscy chodzą nadal do tej samej pracy, w której rząd obraduje, a król mieszka w nietkniętym przez żaden pocisk pałacu, gdzie rozpuszczono tylko wojsko i bez oporu wprowadzono garnizony niemieckie. Wolno przypuszczać, że ci Duńczycy, żegnający odjeżdżającego przedstawiciela Polski patrzyli nań z zazdrością — bo widzieli za nim jego kraj, Polskę, także najechany, okrutnie cierpiący — ale *walczący i niezwyciężony*.

Tym bardziej zaś i my i wszyscy spoglądać możemy z nadzieją w przyszłość, tym bardziej ufać nam wolno w ostateczne zwycięstwo, że Polska się do tego zwycięstwa już przyczyniła. Wojna na terenie Polski trwała tylko miesiąc. Ale przez ten miesiąc Polska zadała Niemcom tak ciężkie rany, że pozbawiła ich możliwości natychmiastowego ataku na Zachodzie. Nie tylko co piąty samolot niemiecki został strącony, nie tylko poległy setki tysięcy Niemców, nie tylko setki czołgów uległy zniszczeniu. Ponadto, dzięki rzuceniu przeciw Polsce całości niemal sił niemieckich,całego lotnictwa i całej broni pancernej — wyprawa na Polskę sparaliżowała broń motorową niemiecką na kilka miesięcy. Dążąc bowiem do osiągnięcia błyskawicznego wyniku, a napotykając na bohaterski opór — Niemcy zużyli motory swoich płatowców i swojej broni pancernej do tego stopnia, że przez kilka miesięcy nie byli zdolni do podjęcia akcji zaczepnej. W ten sposób Polska dała swoim Sojusznikom, podobnie jak ona, przez rozmiar przygotowań wojennych niemieckich zaskoczonym — atut niezmiernej wagi: czas. To dzięki Polsce mogła odbyć się spokojnie mobilizacja we Francji i Anglii, to dzięki Polsce mógł nastąpić bez przeszkód przewóz wojsk angielskich na kontynent. To dzięki Polsce Rzesza nie mogła już nic przedsięwziąć jesienią zeszłego roku, to dzięki Polsce mogły spokojnie powstać na Zachodzie te fortyfikacje, jakie dźwignięto tu w czasie zimy. To dzięki Polsce Sojusznicy mogli bez przeszkód wyrównać te braki w uzbrojeniu, jakie jeszcze mieli.

W XVIII-ym stuleciu prowadziliśmy rozpaczliwą, samotną walkę, która dała narodowi bardzo wiele: dała mu poczucie, że gotów jest bronić wolności w każdym położeniu i przed każdą siłą. Ale mimo to była to samotna walka, posiew krwi hojnie rzucany w ziemię dla dalekiej przyszłości. Obecnie wojna jaką prowadziliśmy nie była tylko zbrojnym, bohaterskim protestem. Była częścią olbrzymich zmagań, była walką straży przedniej. Walką, która dała to, co dać miała: możliwość rozwinięcia się sił, które walczyć będą aż do końca.

Takie myśli nasuwają się w rocznicę 3 Maja, kiedy, w roku 1940, odbiegamy wspomnieniem do dni uchwalenia Konstytucji Majowej.

Ale żołnierzom, którzy w mundurze polskim brać będą dalej udział w tej wielkiej wojnie światowej, wojnie o wolność Europy, o swobodę człowieka, o pokój dla pokoleń — żołnierzowi polskiemu, co walczyć będzie w jednym szeregu z żołnierzem francuskim, angielskim, norweskim, co krew swoją przelewał w Polsce, a przelewać będzie i na północnych fiordach i wśród francuskich winnic — jeszcze jedno pytanie musi się nasunąć. Pytanie, czy nie w tym właśnie, że kiedyś Zachód Europy patrzył spokojnie i bezwładnie na zbrodnię, jaką nad Polską popełniały Prusy i Rosja — czy niew rozbiorach Polski w XVIII-ym wieku tkwi przyczyna tych straszliwych zmagań, co pustoszyły i pustoszą Europę? Czy nie tam właśnie na polach Maciejowic, na Pradze zajętej przez Suworowa, pod Powązkami szturmowanymi przez Prusaków — czy nie tam rozpoczęła się ta walka, której tylko *dalszy ciąg* trwa dzisiaj? Czy nie tam urodził się duchowy sojusz rosyjsko - niemiecki, czy nie od tych dni zaczyna się prawdziwa potęga Niemiec, czy nie rozbiór Polski był przyczyną klęski Francji w 1870 roku, w tej „błyskawicznej” wojnie XIX-go wieku? Czy nie stamtąd wywodzi się zdrada Rosji w roku 1917 i pokój brzeski? Czy nie stamtąd układ Hitlera ze Stalinem? Czy to nie po upadku Polski maszerowały dwukrotnie przez Paryż w triumfie wojska pruskie a raz rosyjskie — to czego *nigdy przedtem nie było*? Czy nie mści się dzisiaj jeszcze tamten grzech obojętności wobec triumfującego zła?

Może nie będzie źle, jeśli żołnierz polski podzieli się tymi myślami — które towarzyszą nam przez półtora wieku — gdzieś na biwaku, czy w szpitalu ze swoim towarzyszem francuskim lub angielskim — podzieli się jak z bratem, walczącym razem o wielką i słuszną sprawę, z którym można i trzeba każdą głęboko odczutą myślą dzielić się, jak kromką chleba.

Ignacy Matuszewski

„Począwszy od króla aż do biednego wyrobnika, każdy Konstytucją z r. 1791 w swoim zawodzie potwierdzony został. Dodajmy do tego szczęśliwego cudu tę roztropności sławę, że ani jedna kropla krwi nie popłynęła, nie było tam ani zdrady, ani obelgi, ni zmowy na czyj honor, ni lżenia religii, obyczajów, ani łupiestwa, ani konfiskaty, żaden obywatel pojmany, żaden uwięziony nie został, żaden wygnany”.

Edmund Burke, angielski mąż stanu (1730—1797)

„Jeśli konstytucja nie odniosła skutku, to nie stało się to z braku mądrości, a Rzeczpospolita uległa tylko przemocy i haniebnej wiarołomności swoich nieprzyjaciół”.

Lord John Russel, reformator parlamentu angielskiego wielokrotny minister i premier (1792—1878)

Trzeci Maja — dniem Żołnierza Polskiego

Trzeci Maj — święto narodowe — szeregi piechoty — sznury dział — oto obraz rodzący się w duszy każdego Polaka, gdy rzuci okiem na tę tak pamiętną datę naszych dziejów.

Znaczenie Trzeciego Maja, wiekopomna rola uchwalonej wówczas Konstytucji, należy do najbardziej znanych w Polsce wypadków historycznych. Ten przepiękny dzień czynu politycznego przecina jak jasny, bujny promień światła długą smugę wewnętrznego rozprężenia dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, rozprężenia i braku wojska, które doprowadziło do czasowego upadku państwa. Jest bowiem tylko powtórzeniem prawd, znanych każdemu Polakowi, stwierdzenie, że Konstytucja Trzeciego Maja z 1791 r. była przede wszystkim czynem, który przyniósł dawnej, a tak zgodnie krytykowanej Polsce czasów saskich, — prawo do słusznej dumy politycznej, prawo do tytułu narodu odrodzonego. Wiemy wszyscy, że Konstytucję tę, uchwaloną wśród powszechnego entuzjazmu Warszawy w dniu 3-go maja, cechował wysoki rozsądek i umiar postanowień przy braku krańcowości, któreby mogły same przez się w zarodku to dzieło zniweczyć. Nie mniej przy całym swoim umiarze, stanowi Konstytucja 3-go Maja na tle sposobu myślenia z końca XVIII-go wieku, świetlany przykład zdrowego postępu i dążenia do odrodzenia wszystkich warstw i wszystkich sił narodu.

Wiemy, że w miejsce bezrządu tak szkodliwych dla dawnej Polski elekcji, wprowadzała ona dziedziczność tronu dla z góry przyjętej dynastii saskiej, że wprowadzała zasadę sprawnego rządu wykonawczego, że jeszcze raz potwierdziła przywrócenie praw mieszczańskich przy równoczesnym ograniczeniu dotychczasowej wyłączności szlacheckiej. Nie zaniedbała jednak Konstytucja 3-go Maja klasy społecznej, dotychczas w Polsce najbardziej upośledzonej, t. j. chłopów, jakkolwiek nie przyniosła im jeszcze wyzwolenia z pańszczyźnianej niedoli, która zresztą była wówczas wszędzie w Europie zasadą obowiązującą. Nie mniej jednak zapewniała Konstytucja chłopom „opiekę prawa i rządu krajowego", a co ważniejsze, stwierdzała nienaruszalność „swobód, nadań i umów", zawartych pomiędzy gromadą a właścicielem ziemskim. Ten pozornie drobny szczegół stwarzał jednak ochronę prawną na terenie spraw, które dotychczas bezapelacyjnie zależały od dobrej woli pana czy właściciela.

Jeśli jednak te wszystkie momenty twórcze i zdrowe Konstytucji 3-go Maja są dobrze znane szerokim kołom polskim, to niewątpliwie znacznie mniej znana jest zaszczytna i dodatnia rola odradzającego się właśnie wojska polskiego, rola, którą odegrało to wojsko przy samym akcie uchwalenia i przeprowadzania Konstytucji 3-go Maja.

Wrogów rodzącej się Konstytucji nie brakło, co więcej, byli może w przewadze liczbowej. Już na pierwsze słuchy o zamiarze jej uchwalenia przeciwnicy, a twórcy przyszłej Konfederacji Targowickiej uprzedzili posła rosyjskiego Bułhakowa. Rozpoczęło się więc gwałtowne przeciwdziałanie polityczne, obliczone na przeszkodzenie chociażby siłą czy awanturami głośnych „rębaczy" czyli zawodowych awanturników hetmana Branickiego uchwaleniu Konstytucji. Nie były to jednak już czasy, kiedy każda grupa najemnych awanturników czy „rębaczy" mogła, jak dawniej, przeszkadzać zbawiennym dla Polski poczynaniom. Dzięki szkołom wojskowym króla Stanisława Augusta, dzięki powszednim zabiegom organizacyjnym istniała już karna i zdescyplinowana armia polska, chociaż niestety niezbyt liczna. Król więc, wraz z wodzem tych wojsk, Księciem Józefem Poniatowskim, wcześnie wydał zarządzenia, które by uniemożliwiły próbę zerwania Sejmu siłą, względnie przeszkodzenia uchwałom za pomocą awantur i rozruchów.

Oczom i wyobrażeniom dzisiejszych Polaków znana jest Konstytucja 3-go Maja głównie z obrazów Matejki i ze sceny, gdy króla niosą posłowie na ramionach. Nie mniej na obrazach współczesnych malarzy, np. Wojakowskiego niemal na pierwszym planie wszędzie figuruje wojsko polskie, jako asystujące przy uchwalaniu tego wiekopomnego dzieła. Posłuchajmy więc co pisze o roli wojska w Warszawie w dniu 3-go Maja 1791 r. jeden zresztą z najzaciętszych przeciwników tej Konstytucji, poseł Suchorzewski, znany ze swych protestów przeciw uchwałom 3-go Maja. Oto Suchorzewski stwierdza: „Gwardie i regiment Działyńskiego stanęły pod bronią. Artyleria wyprowadzona. Oficerom, adiutantom i dworzanom od dworu, ułanom...., jednym w mundurach, drugim przebranym w obywatelskie suknie, od laski marszałkowskiej (to jest za krzesłem marszałka Sejmu) stanąć kazano. Mieszczan kilkuset prócz tych... Gimajni (to jest szeregowcy) z regimentu Działyńskiego z determinacji wszystkim znani".

Ta relacja przeciwnika może najlepiej nam objaśnia, jak wyglądał dzień 3-go Maja 1791 r. w Warszawie, i jaką była rola tych „gimajnów" pułku Działyńskiego, jak wówczas zwano szeregowców, znanych po tym z swej „rezolucji" czyli odwagi na tylu polach bitew. Z innych świadectw przypomnieć by należało, że to właśnie 50 ułanów, w jaskrawych rabatkach, pod osobistym dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego, stało za krzesłem marszałka, by go ochronić przed przedstawicielami dawnego warcholstwa szlacheckiego. A wreszcie, jak skarży się bezsilnie tenże Suchorzewski, przy uchwalaniu Konstytucji rolę muzyki „intonowała im artyleria, huczno i rzęsisto ognia dając z armat". Jeśli te słowa dla duszy Suchorzewskich itp. brzmiały jak skarga, to dla nas, ludzi dzisiejszych, „intonowała" to wówczas dopiero odradzająca się artyleria polska swymi strzałami wiekopomny hymn dumy narodowej 3-go Maja.

Przysięgali wszyscy na Konstytucję, ale właśnie wojsko polskie w w rok po tym w walkach pod Zieleńcami i Dubienką udowodni czynami swymi i krwią, że tej Konstytucji — uchwalonej przy poparciu wojska — bronić potrafi. Załamała się bowiem Konstytucja 3-go Maja pod przewagą Targowicy, wspieranej przez Moskali, nie na wojsku, czy przez wojsko, ale na słabości ówczesnych charakterów politycznych, niestety z samym królem na czele. Zostawiła jednak Konstytucja 3-go Maja wraz z wszystkimi swoimi następstwami nie tylko dowód, że rozbierano Polskę w czasie odrodzenia narodu, ale jeszcze jedno dalej w przyszłość sięgające wskazanie.

Ponury obraz stosunków panujących przed Sejmem Czteroletnim i Konstytucją 3-go Maja nie może bowiem nigdy przysłonić faktu, że mimo wad ówczesnego społeczeństwa szlacheckiego znalazła się jednak silna i czynna grupa ludzi odrodzenia. Grupa ta oparta o wojsko polskie, nie opuściła rąk w rozpaczy i zniechęceniu, ale w najcięższych warunkach podjęła dalszą pracę i walkę o odrodzenie i niepodległość, walkę toczoną najpierw na ziemi polskiej, a po tym przez długie okresy tułaczki wśród obcych, a pod sprzymierzonymi sztandarami Francji.

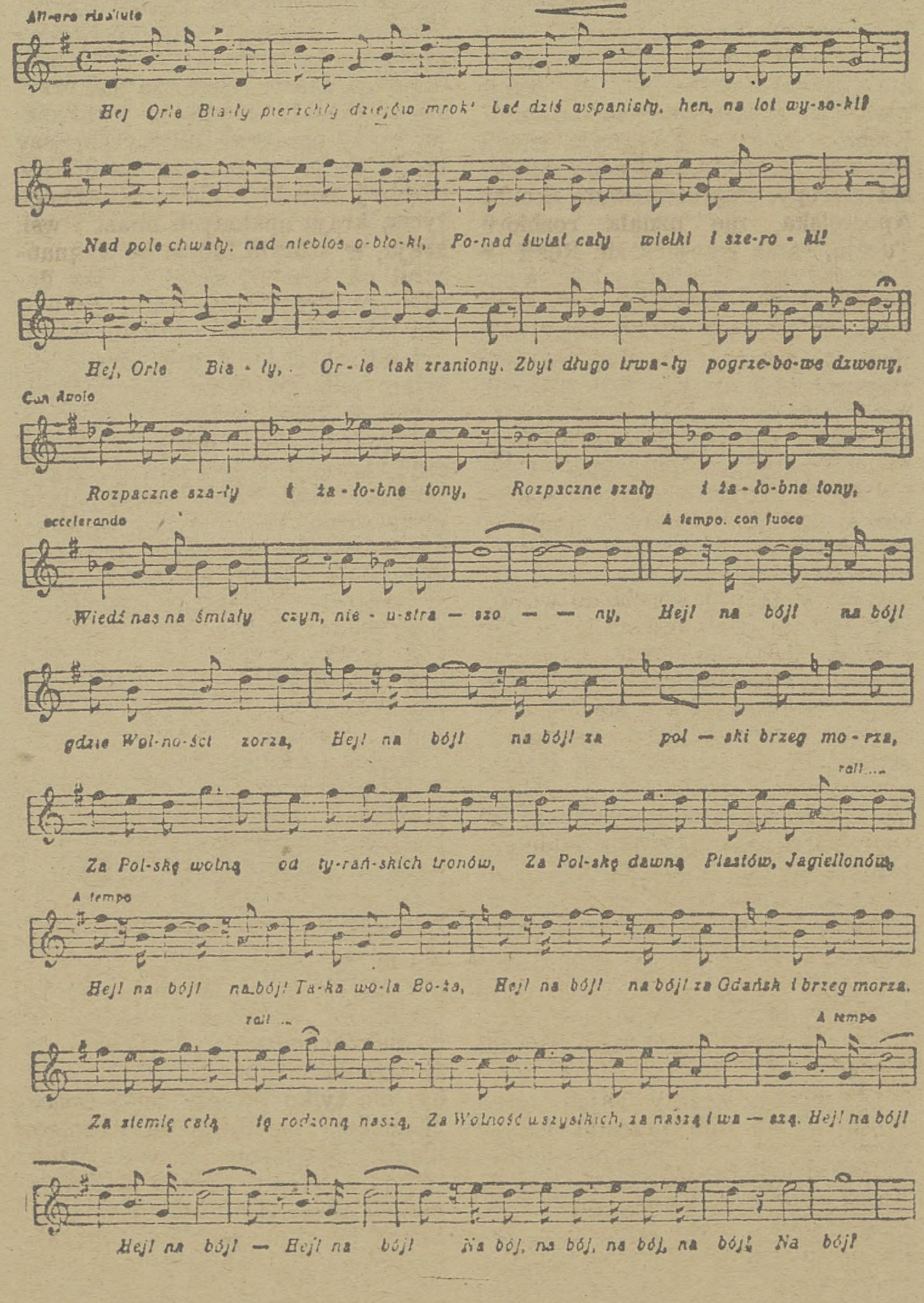
Wskazała nam bowiem epoka Konstytucji 3-go Maja, że naród polski zawsze wyłoni z siebie tych, co będą walczyć o przyszłość Polski do upadłego. Wyłonił wówczas, w osiemnastym wieku, wyłoni ich dzisiaj — w wieku dwudziestym, a jak zawsze z tym hasłem walki o wolność i niepodległość do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu, do ostatniego pocisku.

Olgierd Górka

HYMN ORŁA BIAŁEGO

W tym numerze czczącym rocznicę Konstytucji Trzeciomajowej ogłaszamy hymn, którego słowa i muzykę (w oryginale na chór męski i orkiestrę) skomponował Paderewski w roku 1917. Był to moment, w którym Stany Zjednoczone Ameryki Północnej przystąpiły do wojny po stronie koalicji. Wielki Polak i Wielki Artysta uznał chwilę za odpowiednią do tworzenia Armii Polskiej w Ameryce i poświęcił Jej ten hymn. Ton tego hymnu, jego nastrój spokrewnia się blisko z tonem wielkiego dziejowego zdarzenia, które czcimy dzisiaj na gościnnej ziemi. Bliski jest także uczuciom, które ożywiają nową Armię Polską we Francji, dziedziczącą w pewnym sensie tradycje tamtej, którą przed laty tworzył i natchnioną melodią zachęcał do walki Paderewski. Z tych przyczyn uznaliśmy za stosowne przypomnieć „Hymn Orła Białego". Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby w niedługim czasie zaczął rozbrzmiewać we wszystkich obozach polskich.

Redakcja



Hej orle biały, pierzchły dziejów
[mroki,
Leć dziś wspaniały, hen, na lot
[wysoki
Nad pola chwały, nad niebios
[obłoki,
Ponad świat cały, wielki i szeroki.

Hej orle biały, ongi tak zraniony,
Zbyt długo brzmiały pogrzebowe
[dzwony
Rozpaczne szały i żałobne tony,
Wiedź nas na śmiały czyn,
[nieustraszony.

Hej na bój! na bój! gdzie wolności
[zorza,
Hej na bój! na bój! za Polski brzeg
[morza!
Za Polskę wolną od tyrańskich
[tronów,
Za Polskę dawną Piastów,
[Jagiellonów.

Hej na bój, na bój! Taka wola Boża!
Hej na bój, na bój! Za Gdańsk i
[brzeg morza!
Za ziemię całą, tę rodzoną naszą,
Za wolność wszystkich, za naszą i
[waszą !

Muzyka i tekst: Ignacy J. Paderewski

Uchwalenie i zaprzysiężenie Konstytucji 3 Maja 1791

Nareszcie zaświtał dzień 3-go maja. Niezwykły duch panował na ulicach Warszawy, szczególniej w okolicy zamku królewskiego, w którym obradowały stany sejmujące.

Od samego rana zaciągnięto koło zamku warty wojskowe. Ustawiły się cechy z chorągwiami, stanęli i radni miasta z prezydentem na czele. Schody i krużganki zapełniła ciekawa publiczność.

Karety ministrów i senatorów, wśród ciżby kilkunastotysięcznego ludu z trudem zajeżdżały przed zamek. Wytoczono i kilka armat przygotowanych do dawania salw w chwili zapadnięcia konstytucji.

Koło godziny wpół do jedenastej zaczyna się zapełniać i sala sejmowa. Na tronie urządzonym na tle aksamitnym z wyszytym białym orłem, stoi krzesło królewskie i stolik, na którym położono *pacta conventa* (zobowiązania królewskie względem narodu) i prawa kardynalne. Nad tronem wznosi się aksamitny baldachin z pióropuszem. Naprzeciw tronu, po drugiej stronie izby sejmowej, stoją ławy marszałków i ministrów. Od ściany głównie oświetlającej salę urządzono amfiteatralnie sześć ław dla posłów, naprzeciw cztery ławy dla senatorów, środkiem jest miejsce wolne. Za ławami, pod galeriami, znajdowało się jeszcze dość miejsca dla sejmujących.

Oto wybija godzina jedenasta i dają znać, że król nadchodzi. Zasiadają wszyscy na swoich miejscach, koło drzwi wchodowych tworzy się szpaler, wchodzi dwór, za nim idą ministrowie i marszałkowie niosący laski w złoto oprawne z herbami Polski i Litwy. Za tymi dostojnikami wchodzi Stanisław August, przybrany w mundur korpusu kadetów z gwiazdą orderu Orła Białego na piersi. Huczne oklaski towarzyszą wejściu królewskiemu. Stanisław August z wyrazem niepokoju na łagodnej nieco twarzy, wstępuje na stopnie tronu.

Za królem weszła liczna rzesza szambelanów i straż wojskowa złożona z gwardii konnej i ułanów. Marszałkowie i ministrowie pokłoniwszy się królowi, odchodzą na miejsce swoje na drugim końcu sali. Czuć gorączkowe oczekiwanie.

Nareszcie zalega cisza, a wśród niej słychać trzykrotne uderzenie laską o ziemię marszałka wielkiego koronnego Michała Mniszka — to znak, że otwiera posiedzenie i udziela głosu marszałkowi sejmowemu. Stanisław Małachowski ze wzruszeniem w głosie krótko sesję zagaił.

Ze wszystkich stron sali odezwały się wołania o udzielenie głosu. Zwyczaj dawał pierwszeństwo prowincji małopolskiej, a więc Stanisław Sołtyk, poseł krakowski, pierwszy przemówił. Publiczność przyjęła oklaskami mowę Sołtyka. Znowu ze wszystkich stron słychać wołanie o udzielenie głosu, a najwięcej krzyczy pan Suchorzewski, bo „ma wyjawić wielkie i okropne rzeczy". Marszałkowie uderzają laskami o ziemię: król przemówić pragnie. Król w krótkich słowach zamknął rzecz swoją.

Prawie ogólną zgodą przyjęto wniesienie królewskie. Ale nie zgodził się pan Suchorzewski, więc zaczął krzyczeć, domagając się głosu. Ale nikt na niego nie zważał i wszyscy prawie wołali: „Prosimy deputacji do interesów zagranicznych". Suchorzewski, mąż nieustraszony, wyskoczył na środek izby, zerwał ze swych piersi otrzymany świeżo order św. Stanisława i umotawszy się nićmi orderu, jak opętany rzucił się na ziemię i czołgał ku królowi, wołając, że ostatni raz chce mówić za wolnością. „Jako Polak, chcę zapobiec spiknieniu się na nas chciwych sąsiadów, ale nie podług projektu, którego nie czytałem wprawdzie, ale który, jak mi mówiono, wywraca wolność polską". Huczny śmiech pokrył słowa mówcy, że wszystkich stron żądano odczytania relacji, zatem Tadeusz Matuszewicz przystąpił do spełnienia obowiązku. Po ogólnej charakterystyce polityki zagranicznej, odczytuje ostatnie wiadomości odebrane od posłów polskich zagranicą. „Nie są tu radzi pomożeniu wojska i skarbu naszego, a z większym jeszcze niesmakiem patrzą na poprawę i ugruntowanie naszej konstytucji. Obiecywano to sobie, iż nie trafim nigdy do ustanowienia rządu". Dalej donosi poseł o przyjaznych stosunkach Moskwy z Prusami. Choć do tego pewnych wiadomości nie ma, to z drugiej strony są aż nadto wystarczające dowody, że używają się wszelkie wybiegi polityki, „ażeby spóźnić postępowanie nasze w ustawach, które nasz kraj gruntownie zabezpieczyć mogą, ażeby nas trzymać w niejedności, ażeby nas jednych na drugich zaostrzać, jednym słowem, ażeby nas splątać i zostawić w stanie zaślepienia i niebaczności na niebezpieczeństwa, które nas otaczają i na tę przepaść, w którą chcą, żebyśmy wpadli."

Skończywszy czytanie depesz, w gorących słowach jeszcze przemówił Matuszewicz do najjaśniejszych stanów. „Do ciebie miłości królu, do was stany najjaśniejsze, należy jąć się środków, które do uratowania ojczyzny najskuteczniejszymi uznacie." Sprawozdanie Matuszewicza przygnębiające wywarło wrażenie. Wszystkie oczy zwróciły się ku tronowi. Marszałek Mniszek znowu trzykrotnie laską uderzył, ministrowie stanęli przy boku króla, a ten wstawszy z krzesła, oświadczył, że to, co wyjawi, ma na celu prawdziwe usłużenie ojczyźnie. „Zastanawiałem się od kilku miesięcy — mówił król dalej — nad sposobami, jakich nam się jąć trzeba było. Wspólna komunikacja ufności obywatelskiej, podała nam stosowne do tych końców myśli. Urodził się z tego projekt, który nie był pokazany, a który już jest zgodny z wolą wielu sejmujących. Ten, gdy w stanach przeczytany zostanie, spodziewam się i życzyć powinienem, aby był przyjęty. Abym zaś dłużej nie przeciągał toku naszego, proszę niech już ten projekt będzie przeczytany."

Nastąpiły ze wszystkich stron okrzyki: „prosimy o projekt!", czemu posłuszny sekretarz sejmowy odczytał ułożoną „Ustawę rządową". Nieustające okrzyki i oklaski rozlegly się po całej izbie i galeriach. Marszałek stanąwszy na środku sali, złożył na przód podziękowanie królowi za usiłowanie zapewnienia na wieczne czasy i szczęścia i świetności Rzeczypospolitej, z dobrowolnym umniejszeniem ozdób tronu. „O ile szczupłe światło daje poznać" marszałkowi, to przedłożony projekt jest najlepszą ustawą republikańską. Ani angielska, ani poprawniejsza od niej amerykańska, nie mogą się porównać z projektem. Na co król odpowiedział: „w czytanym dopiero projekcie ustawy rządu naszego, ja nie widzę nic szkodliwego dla kraju: powiem ochoczo, że za szczęśliwy poczytam ten dzień, w którym przeczytany projekt obróci się w prawo. Spodziewam się zaś, że tym dniem będzie dzień dzisiejszy. O to proszę wszystkich dobrze myślących, niech tę prośbę uczynią skuteczną. Ja zaś, jak raz powiedziałem, tak powtarzać będę do śmierci: „król z narodem, naród z królem!"

Zabiera głos Złotnicki, zaufaniec Szczęsnego Potockiego i dowodzi, że sprawozdanie deputacji jest sztucznie przygotowane. Popiera go Ożarowski. Otrzymał głos Ignacy Zakrzewski: „Wolnym Polakiem być chcę; cnocie i ojczyźnie więcej, jak względów na osobistą egzystencję winien jestem. Przeto o podniesienie projektu konstytucji narodowej i dalszych prawideł do formy rządu dopraszam się".

Gdy skończył Zakrzewski, znowu powstały okrzyki: „Kończyć, nie ma co deliberować!" a posłowie domagali się od marszałka, aby zapytał się o zgodę. Po ich ustaniu Czetwertyński krytykuje projekt a Korsak zwrócił się do Małachowskiego, aby uczynił zadość formalnościom, kazał projekt wydrukować i podać dyskusji. Wniosek ten niechętni konstytucji głośno poparli, na co zabrał głos Stanisław Potocki i z zapałem bronił projektu. Z równym zapałem przemówił Zboiński: „Widzisz narodzie, że nie masz środka zbawienia Rzeczypospolitej, tylko w nas samych. Precz z tej izby, z tej świątyni, nieufności, osobistości, podległości niewolnicy! Powiedzmy wszyscy razem: niech po trupach naszych nieprzyjaciel kraju, nieprzyjaciele własnej ojczyzny, sięgają po naszą cnotę. My trwać będziemy Polakami, przy prawach godnych wolnego narodu, przy prawdziwej wolności, dziś zdecydowani, życie położyć gotowi".

Po mowie Zboińskiego znowu liczne głosy powstały, aby przystąpić do uchwalenia projektu. Poseł Orłowski był przeciwnego zdania. Poseł Kiciński rozpoczął zapytaniem: „Na co mamy czekać?" i dalej przepowiadał wymownie niedaleką przyszłość narodu, jeżeli nie stanie raz silnym. Uniesiony słowy Kicińskiego Rzewuski dalej myśl jego rozwijał: „Z płaczem dziś padam do tronu WK. Mości prosząc, iżbyśmy starli tę plamę ohydy i wzgardy". Żąda więc głosowania, a gdyby głosowaniu sprzeciwiała się opozycja, składa u nóg króla zapewnienie, iż „póty z izby nie wyjdzię, póki decyzja nie stanie". Że wszystkich stron zawołano: „nie wyjdziemy".

Po przeciągłych okrzykach król dał znak, że pragnie przemówić. „Niech wiem, czy mam dzień dzisiejszy między szczęśliwymi policzyć? Niech usłyszę prawdziwą wolę Sejmu". Marszałek Małachowski przystąpił do wykonania woli królewskiej. Chcąc więc dowiedzieć się, jaka wola sejmujących, prosi, aby będący za projektem zostali się w milczeniu, a ci, którzy mu się sprzeciwiają uczynili oświadczenie. Mówią, że ten sposób głosowania został podsunięty Małachowskiemu przez Kołłątaja. Był on rzeczywiście zabójczy dla opozycji. Przez chwilę głucha cisza zaległa salę sejmową. Wreszcie Chełmiński oświadcza, „że na ten projekt nigdy nie pozwoli". Powstał zgiełk. Zabiełło widząc, że nie ma końca dyskusji, oświadcza, wyraźnie: „Jestem za tym projektem, jest i każdy za nim ktokolwiek dobrze życzy ojczyźnie. Ciebie najjaśniejszy panie prosimy, abyś pierwszy wykonał przysięgę, a wszyscy za tym pójdziemy przykładem".

Zrywają się wszyscy prawie posłowie z miejsc swoich i biegną ku królowi, błagając go, aby wykonał przysięgę. Zapał przeradza się w entuzjazm. Przez długi czas cała izba z galeriami woła jednym głosem: Wiwat król! wiwat konstytucja! Głos ten tysiącznym echem rozchodzi się po krużgankach, z tych wpada na dziedziniec zamkowy i ulice. Kilkutysięczny tłum wznosi okrzyki, zapał ogarnia wszystkich. Suchorzewski traci resztki przytomności. Rzuca się ku królowi wołając: „nie przysięgaj wasza królewska mość". Już trzy kroki był od króla, kiedy przewraca się i o mało nie zostaje podeptany. Król widząc, że zapał unosi wszystkich i że nie ma poco zwlekać wykonania przysięgi, decyduje się na nią, ale przyjść do słowa nie może. Wchodzi więc na krzesło tronowe i daje ręką znak, że pragnie mówić. Wśród natężonej uwagi zwracając się do biskupa krakowskiego Turskiego, wyrzekł donośnym głosem te słowa: „Gdy widzę stałą sejmujących wolę, abym wykonał przysięgę na konstytucję, wzywam zatem ciebie, mości książę biskupie krakowski, ażebyś mi przeczytać raczył rotę przysięgi, dla wykonania jej przeze mnie".

Na te słowa Turski zbliżył się do tronu i zaczął odczytywać rotę przysięgi. Król powtarzał jej słowa, położywszy rękę na Ewangelii trzymanej przez Ks. Goszeńskiego biskupa smoleńskiego. Była to chwila wspaniała i wzruszająca dla wszystkich, a najpiękniejsza w życiu króla. Wszyscy podnieśli ręce, trzymali w górę wzniesione czapki i kapelusze, łzy radości spływały po obliczach.

Po wykonanej przysiędze król wzruszonym głosem wyrzekł te słowa: „Przysięgam Bogu, żałować tego nie będę. Wzywam teraz kochających ojczyznę niech idą za mną do kościoła, na złożenie Bogu wspólnej przysięgi i dziękczynienia, że nam dozwolił tak uroczystego i zbawiennego dopełnić dzieła".

Król zeszedł z tronu i zwrócił się ku drzwiom wchodowym, a za nim ruszyli z miejsc wszyscy. Przed zamkiem tłumy ludu witały posłów okrzykiem: „wiwat król! wiwat konstytucja narodowa !" Kościół zapełniony już był ludem i cechami miejskimi. Potężne okrzyki nie umilkały ani na chwilę, a wzmogły się jeszcze, gdy król wszedłszy osobnym wejściem z zamku do kościoła św. Jana, ukazał się zgromadzonemu ludowi przed ołtarzem. Marszałków sejmowych Małachowskiego i Sapiehę przyniesiono na rękach do kościoła. Głosy: prosimy o przysięgę, rozlegały się po świątyni. Książe biskup krakowski odczytał rotę przysięgi, a wszyscy zebrani podnieśli ręce do góry na znak, że ją powtarzają i dotrzymać jej pragną. Po złożonej przysiędze biskup Smoliński zaintonował „Te Deum laudamus", a kilka tysięcy ludu zapełniającego kościół, ulicę Zamkową i św. Jana, hymn ten za nim powtarzało. Wtedy to dał się słyszeć huk armat. Kiedy radosne okrzyki nie ustawały, uderzono kilka razy w dzwonek zakrystii, a król po uciszeniu się wyrzekł jeszcze te słowa: „Wykonawszy to, cośmy Bogu byli winni, powróćmy teraz do izby sejmowej dokończyć dzieła naszego".

Powracającego do zamku króla witano okrzykami. Też same okrzyki powtórzyły się, gdy wszedł na salę i zajął miejsce na tronie. Wtedy ze stolika ustawionego przed tronem zrzucono na ziemię wszystkie dawne prawa kardynalne i *pacta conventa*. Król stanąwszy na tronie, w krótkich słowach polecił marszałkom kon federacji, aby niezwłocznie odebrali przysięgę od magistratur, a zwłaszcza od komisji wojskowej, która ma znów odebrać przysięgę od wszystkich wojsk Rzeczypospolitej.

Potem wśród gromkich okrzyków opuścił król salę sejmową, a marszałkowie podpisawszy ustawę rządową udali się na nadzwyczajne posiedzenie komisji wojskowej, aby od jej członków odebrać przysięgę.

Lud tłumnie z chorągwiami odprowadził marszałków do domów a później udał się do pałacu saskiego, wznosząc okrzyki: „wiwat elektor saski, następca tronu!"

W godzinę potem cisza zaległa ulice Warszawy. Tak skończył się dzień 3-ci maja.

Kazimierz Bartoszewicz

Z „Kroniki dni kwietniowych i majowych w Warszawie 1791 roku".

Z LOTNIKAMI

(Od polskiego korespondenta wojennego)

Na linii, w kwietniu

Niebo nad linią dudni pogłosami niestrudzonej działalności motorów.

To nie echo ziemskich walk, to nie odgłos ani odbicie burzy wiosennej, jaka się czasem rozpęta nagle z dwuch stron granicy, podsycana grzmotami dział, wiążąca huk piorunów drobnym, gęstym ściegiem ognia maszynowego. To własna, powietrzna akcja skrzydlatych hufców, rozbrzmiewająca w błękitach, niewidzialna ponad chmurami, ale wracająca do ucha uparcie, niby natrętne bzykanie komara, o którym nie można ani na chwilę zapomnieć.

Rola lotnictwa ograniczona była do niedawna jeszcze tym wstrzemięźliwym bardzo tokiem wojny, który to pełni swoich środków i sił jeszcze nie zastosował. Najważniejszym obecnie zadaniem lotników na froncie zachodnim jest rozpoznawanie frontu nieprzyjacielskiego, codzienne patrole nad liniami przeciwnika, w ciągu których pracuje obserwator i aparat fotograficzny, aby notować każdą zmianę a tym samym prowadzić jakby kronikę sytuacji, układu sił i ruchów po stronie wroga. Aparatom, które dokonują tych rozpoznań, towarzyszy eskorta myśliwców, odpędzająca ewentualny atak z powietrza. Podczas gdy samolot rozpoznawczy pełni swoje zadanie, rój myśliwców odgania napastnika, broniąc mu drogi i dostępu do maszyny, która w danej chwili stanowi jakby przedłużenie wzroku dowództwa i zagląda niedyskretnie w ośrodki tajemnic wojskowych nieprzyjaciela.

Drugim typem zadań rozpoznawczych, z jakimi latają nad ziemią nieprzyjaciół samoloty sojuszników to rozpoznania głębokie, loty daleko na tyły, dokonywane nie nad całością obszaru, jak przy froncie, ale w pewnych określonych kierunkach. Oczywiście tego rodzaju wizyty nieproszonych lotników nad obszarami i w niebie cudzym polegają dziś na wzajemności, to też nad Francją przeciąga nieraz patrol Niemców, próbując spełnić podobne zadania. Typem lotów najśmielszych w tej kategorii są nocne „wycieczki" lotnictwa sprzymierzonego, które dotarły aż po Wiedeń i Pragę i nawet Poznań, nie mówiąc już o kilkakrotnym nalocie na Berlin. „Bombarduje" ono niemieckie miasta i miasta okupowane przez Niemców, jak dotąd jedynie ulotkami.

Niemcy do niedawna patrolowały z powietrza bezustannie przede wszystkim Morze Północne, gdzie niemal co dnia hufiec Goeringa dopuszczał się korsarskich i bandyckich ataków głównie na okręty towarowe, nie oszczędzając nawet zwykłych łodzi rybackich ani morskich latarni. Ofiarami tych ataków nie tylko bombowych, ale także z karabinów maszynowych, bywały przeważnie okręty neutralne. (Nie wspominamy tu jeszcze nowych wydarzeń, rozszerzających teatr wojny na Skandynawię).

Jedno jeszcze zjwisko, jakby prolog do prawdziwej wojny z powietrza: to raidy niemieckie na wybrzeża Anglii,na bazy morskie zwłaszcza. Atak na angielską bazę morską Scapa Flow był do niedawna punktem kulminacyjnym niemieckiego zacietrzewienia lotniczego. Lotnictwo angielskie nie pozostało Niemcom dłużne. Nalot angielski na bazę hydroplanów niemieckich wyspy Sylt musiał się odbić głębokim echem celnych i skutecznych wybuchów w całych Niemczech. Raid angielskiego lotnictwa na Wilhelmshafen i to w biały dzień, pokazał raz jeszcze, że bazy lotnicze i morskie niemieckiego mocarstwa leżą w zasięgu niszczących sił skrzydlatej armii angielsko - francusko - polskiej. Polskie bowiem lotnictwo, odradzające się dzisiaj na nowych podstawach, już się także znalazło na tej linii niebieskiego frontu, który nie tylko bronić będzie ziemi Sprzymierzeńców, ale poniesie nad Niemcy na swoich skrzydłach siew żelaza i ognia, z jakiego narodzić się musi nowa wolność wyzwolonej od barbarzyńców Europy.

Myślę o tym zasłuchany w drganie powietrza, które mielą młyny śmig lotniczych, że aż warczy i turkocze pod niebem. Wiosna przynosi ożywienie w przestworzach. Pogodne dnie i noce przecinają coraz gęściej linie i eklipsy, koła i skręty wojennych lotów.

Eskadry myśliwców nie posiadają w wojnie obecnej tych znaków rozpoznawczych bociana, żórawia czy czerwonego diabła, które wsławili w bojach powietrznych, w pojedynkach podniebnych najsłynniejsi lotnicy wielkiej wojny. Ale tradycja i wspomnienie pozostało. Ludzie, którzy tu tworzą nowy zespół nowych sił i entuzjazmów, przepojeni są wszyscy tym samym duchem, który skrzydła francuskie prowadził już do świetnych zwycięstw. Są zresztą, między nimi i „dawni", dziś już jako przywódcy, jako bohaterowie dokonań zapisanych w historii, z wstążeczkami odznaczeń najlepszych i palm złotych na piersi, z światłem niespożytej młodości w oczach, choć skronie im już siwieją.

Granatowe mundury zdobne złoceniami galonów. Przed szarym hangarem na polu, które rozpościera się szerokie i zielone i zapraszające do startu, ustawił się czworobok tych właśnie granatowych mundurów. Zabłysnął trójbarwny płat sztandaru złociście i uroczyście w pełnym słońcu. Trąbka odezwała się jasnym sygnałem w ciszy skupienia na tle ściany hangaru, osłaniającej od wiatru. I ten głos, bardzo przejrzysty i ten obraz, nasycony świeżością barw, zestrojony wyrównaniem szeregów, błyskami bagnetów na karabinach, granatowych żołnierzy, co teraz stanowią ramę dla oddziału pilotów, obserwatorów i specjalistów. Ceremonia odznaczeń jest przejmująca i krótka. Słowa dowódcy brzmią donośnie i wybiegają poza granice szeregów w przestrzeń lotniska. Kordem, bronią boczną wojsk powietrznych pasuje nowych kawalerów Legii honorowej w korpusie lotników. Stoją pośrodku placu w złocistych epoletach, w białych rękawiczkach, z czerwonymi wstążkami orderów, które zabłysły na piersi białą emalią krzyży.

Z oddali wzbija się znowu i przenika przestrzeń huk zapuszczanych motorów — zrywają się jeden za drugim siwe duże ptaki i zatoczywszy koło nad nami, odlatują na wschód. A tu na ziemi, przekreślanej na chwilę cieniem przelotu, dokonało się właśnie jedno z tych przejmujących, choć drobnych zdarzeń wojny — nagrodzenie zasługi i męstwa. Jest ono równe w każdej broni, kiedy się mierzy z nieprzyjacielem, ale w lotnictwie nabiera za każdym razem szczególnego wymiaru wielkości, łączy bowiem panowanie nad żywiołami ze zwycięstwem nad przeciwnikiem.

W pojedynkach podniebnych skrzydła bronią dzisiaj ziemi Francji na równi z fortecami frontu. Odwaga jednego człowieka, przytomność umysłu załogi, jej zgranie i jej bohaterstwo postawione jest oko w oko z przeciwnikiem zażartym, a ożywionym jedną tylko wolą: zniszczenia każdego oporu, jaki się kłaść ośmieli na drogach bezczelnych jego zamysłów o podboju i podbiciu świata.

Na tym froncie podniebnym, na którym skrzydła lotników bronić mają i osłaniać ziemię, każdy człowiek pomnożony jest siłą szybkości swojej maszyny, każdy — sprawnością jej zwrotów. Każdy człowiek stapia się tu w jedno ze swoim sprzętem, zamienia w cząstkę tej szybkostrzelnej komórki bojowej, która własną mądrością i rozpędem niebywałej energii tłómaczy ogrom taktycznej wiedzy, doświadczeń bitewnych całego oddziału żołnierzy, rozumowania dowódców na różnych szczeblach — w praktyczne wartości ataku i obrony, rozłożonej na ułamki sekund i mającej przed sobą jedną tylko z dwuch ostateczności: wszystko, lub nic, ostateczność zwycięstwa albo śmierci.

I dlatego, patrząc z podziwem na wysmukłe, uskrzydlone maszyny, które są dzisiaj jednym z ważniejszych czynników rozgrywki w wojnie, przyglądam się z uwagą przede wszystkim ludziom, którzy do nich wsiadają, którzy swoim duchem, sprawnością i wolą poderwą je z codzienności ziemskiego wyczekiwania na dalekie szlaki podniebnych przygód bojowych, każdym zwycięstwem przybliżając dla Europy pokój.

Aleksander Janta



KSIĘGA BOHATERSTWA POLSKIEGO

Śp. kleryk ochotn. Kania — sanitariusz.

Wyróżnił się wybitną odwagą i poświęceniem w pełnieniu swoich obowiązków w najcięższych warunkach bombardowań. Nie opuszczał swoich żołnierzy, niosąc im pociechę religijną a przykładem zagrzewając do walki.

Do wyróżnienia podaje przełożony kapelan szp. okr. w W-wie, ks. dr. Obertyński.

Melduje Biskup polowy L. dz. 4301/40.

Kapelan kapitan Walerian Święcicki — szef duszp. 11 DP.

Poza swoimi obowiązkami duszpasterstwa, był wzorem wyjątkowego męstwa i odwagi, którymi wpływał nie tylko na żołnierzy ale i oficerów. Nie opuścił żołnierzy dywizji w żadnej walce. Bohaterskie jego zasługi podniósł generał broni Sosnkowski i gen. Prugar-Ketling.

Melduje Biskup polowy. L. dz. 4301/40.

Speaker londyński pisze:

Londyn, 17 kwietnia 1940

Drogi Redaktorze!

Nie sposób nie poświęcić słów paru aktualności, która zapowiada się na wielkie wydarzenie wojny: Skandynawii. To co się tam stało, dzieje i dziać będzie obchodzi nas wszystkich, ważne jest dla losów wojny, ciekawe jest jako przykład działania Hitlera.

Nie będę powtarzał tego, co każdy zna z depesz i doniesień dzienników. Nie będę się bawił w przytaczanie takich i innych poglądów. Bo jedni uważają, że stało się doskonale, no, bo nareszcie „coś się ruszyło". Inni znowu kiwają głowami i powiadają, że ta awantura skandynawska zapowiada się na rzecz ciężką i długą.

Ci, co kiwają głowami napewno mają rację, bo sprawa łatwa nie będzie i w Anglii wcale szybko ustaliło się przekonanie, że trzeba będzie największego wysiłku, ażeby przegnać Niemców z Norwegii. Na przegnaniu nie może się skończyć: trzeba pochwycić samemu Norwegię i Szwecję, bo w Szwecji to przecież znajduje się owa słynna Kiruna, gdzie przez 24 godzin pracuje się nad wydobyciem rudy żelaznej. Ruda ta idzie w zimie przez port norweski w Narwik, w lecie (dokładnie: przez 9 miesięcy w roku) przez trasę bałtycką z portu szwedzkiego Lulea.

Rzesza czerpie 4/5 swojej rudy z Szwecji. Jeżeli wyciągnęła po tę rudę rękę atakując na razie Norwegię, a zachowując sobie Szwecję w odwodzie, to znaczy, że zarówno blokada Sprzymierzonych dopiekła Niemcom, jak to, że bały się one, iż Sprzymierzeni gotowi są sami dobrać się do Kiruny.

Niemcy dokonali śmiałej operacji wojskowej i zobaczyliśmy, co z tego wynikło. Amerykanie, którzy lubią wyrażać się po prostu a dosadnie, powiedzieli zaraz po kroku niemieckim: „Niemcy wystawili głowę — teraz Alianci powinni ich zdzielić przez łeb". Już po łbie w Narwik dostali. Akcja morska, która musi ulec rozszerzeniu, będzie także i akcją lądową, bo samą flotą i samolotami Norwegii się nie odbije.

Nauczka z Norwegii jest taka, że państwo rozbrojone jest dzisiaj łatwą ofiarą. Że je zaskoczyć można niespodzianie. Że Hitler — o czym my Polacy dobrze wiemy — nie przebiera w środkach. Że idzie na całego, jeżeli poczuje... że ma ze słabszym do czynienia.

Coraz więcej narodów popada w niewolę niemiecką. Czy Rzesza potrafi wytrzymać to gwałtowne połykanie? Czy maszyna jej zniesie tego rodzaju obżarstwo? Dania poszła pod but niemiecki bez oporu. Norwegia broni się i będzie się broniła, ale szanse jej są niewielkie. Musi mieć pomoc, jak wszystkie państwa neutralne, które myślą, że przez to, iż siedzą cicho jak mysz pod miotłą, uratują swoje życie.

Dla Polaków jest rzeczą miłą, że nasze jednostki wojenne brały udział w akcji morskiej angielskiej i że wymieniono naszą niewielką, ale bitną flotę obok jednostek francuskich. Wiele możemy się nauczyć z tego rodzaju lekcji przy boku floty o największym doświadczeniu wojennym, jaką jest flota brytyjska! Dla naszych marynarzy Kattegat to jakby wrota do kraju — już jakby widzieli Gdynię. Musieli walczyć tam szczególnie ostro, z zaciekłością i uporem w sercu. I oni i nasze statki podwodne.

A ponieważ do Norwegii idzie ludzka masa, więc pewnie i tam nas nie zabraknie. Ci, co nie poszli do Finlandii, będą dzisiaj w Norwegii. Podobny klimat, podobne nieco warunki, chociaż na miejsce pojezierza i lasów, skała i granit. To tak jakby walczył w dolinach tatrzańskich.

Dobrze to, że zarówno na morzu, jak i na lądzie jesteśmy przy boku naszych Sojuszników, teraz gdy zaczyna się charatanie na dobre. Może i lotnicy nasi na samolotach angielskich i francuskich skorzystają z tego ,że front się nareszcie ożywił: prędzej znajdą się w walce. Norwegia się im przysłużyła. Będą mogli wziąć pierwszy, ale i nie ostatni, daj Boże, odwet na tych, co niszczyli nas i znęcali się nad nami we wrześniu.

Spaeker londyński

Łamigłówka bałkańska i arabskie historie

Panuje przekonanie, że po porażce, jakiej Hitler doznał w Norwegii, spróbuje się on odegrać na innym terenie. Oczy świata są więc zwrócone obecnie na Holandię i Belgię z jednej, na Bałkany z drugiej strony.

Atak na Holandię i Belgię miałby znaczenie czysto strategiczne: uzyskanie baz dla wojny z Anglią i możność obejścia linii Maginot. Atak ten oznaczałby więc, że Hitler szuka już w roku obecnym rozstrzygnięcia na polach bitwy. Atak na Bałkany miałby inne zupełnie znaczenie. Podobnie, jak wojna norweska jest wojną o żelazo, wtargnięcie Niemiec na Bałkany miałoby na celu zapewnienie sobie możliwości dostawy wybitnie koniecznych surowców, jak nafty rumuńskiej i minerałów jugosłowiańskich, a przede wszystkim środków żywności, których zgłodniała Rzesza potrzebuje. Już przed wojną Niemcy starały się usilnie o przeważny udział w handlu bałkańskim. Udało im się to w znacznej mierze. Przeszło połowa produkcji Bałkanów idzie dzisiaj do Niemiec. To im jednak nie wystarcza, chcieliby oni zapewnić sobie monopol tych dostaw. Tymczasem przywóz Niemiec został zahamowany. Nie tylko dlatego, że państwa bałkańskie bronią się przed przestawieniem całego swego eksportu na Niemcy, które mogą płacić tylko wyrobami przemysłowymi, nie zawsze potrzebnymi, ale dlatego, że w czasach ostatnich Sprzymierzeni wystąpili, jako kupcy na rynku bałkańskim płacąc gotówką, która jest bardziej pociągająca.

Niezależnie zaś od tego atak niemiecki na Bałkany może w pojęciu Hitlera wciągnąć do wojny po jego stronie i inne państwa, które mają bałkańskie apetyty i które próbuje nakłonić obietnicą podziału łupów. Każde bowiem z państw bałkańskich ma sąsiadów, którzy uważają, że im się należą pewne terytoria.

Grecja jest najmniej zagrożona. Jedna jedyna Bułgaria ma pretensje do Salonik. Zresztą Grecja jest położona tak daleko od Niemiec i tak mało ważna jest jej wytwórczość, że w każdym razie nie od Grecji się zacznie.

Najbardziej na sztych wystawiona jest Rumunia. Nafta rumuńska jest bardzo łakoma, a i sąsiedzi w stosunku do niej najbardziej agresywni. Węgry, które nie zapomniały o Siedmiogrodzie, po upadku Czechosłowacji główny nacisk swej kampanii skierowali i dotąd kierują właśnie przeciw Rumunii. Albowiem Rumunia ma niezałatwioną sprawą i z Rosją Sowiecką. Objęcie Bessarabii nigdy nie zostało przez Sowiety uznane. Prawda, że w 1933 roku podpisano w Londynie traktat o nieagresji między Rosją, a jej sąsiadami obejmujący i Rumunię i zawierający milczące uznanie jej obecnych granic. Ale wiemy, co dla Sowietów znaczą traktaty. W każdym razie Mołotow w ostatniej swej mowie wyraźnie zupełnie zgłosił pretensje Rosji do Bessarabii.

Sytuacja Jugosławii jest bardzo skomplikowana. Trzy państwa roszczą sobie prentesje do jugosłowiańskich prowincji: Bułgaria do Macedonii, Węgrzy do Chorwacji i wreszcie Włosi do Dalmacji. Spór z Bułgarią załatwił jeszcze nieboszczyk król Aleksander. Bułgaria przestała popierać terrorystyczną organizację Macedończyków, szef jej Wancze Iwanow musiał z Bułgarii uchodzić. Dla zabezpieczenia się zaś przeciw węgierskiemu rewizjonizmowi i włoskim apetytom, Król Aleksander mocno opierał się na przymierzu z Francją. Przypłacił to życiem.Został zamordowany w Marsylii w chwili, gdy jechał do Paryża wzmocnić alians. Mordercami byli terroryści chorwaccy. Po śmierci Aleksandra Jugosławia zmieniła politykę. Premier Stojadinowicz, przyjaciel i pojętny uczeń naszego Becka uznał, że lepiej się zabezpieczy zrywając z państwami demokratycznymi i wchodząc w orbitę polityki państw totalnych. Rozluźnił Małą Ententę, Ententę bałkańską, zawarł traktat z Włochami. I, podobnie jak dla Becka, Monachium było dla Stojadinowicza chwilą triumfu. Dyplomaci jugosłowiańscy wskazywali na to, że Czechy, związane z demokracjami upadły podczas, gdy w stosunku do Jugosławii umilkł nawet rewizjonizm węgierski. Krótki był triumf. Dziś w Belgradzie panują może największe obawy. Albowiem włoski przyjaciel zajął Albanię i wysłał do niej niedawno 25.000 „robotników". A w Jugosławii gromadzą się od pewnego czasu niezwykle liczni niemieccy „turyści", kuzyni tych turystów, co to nagle na ulicach Oslo i Kopenhagi znaleźli się w mundurach Reichswehry. Ciż sami „turyści" są i w Budapeszcie.



Mapka obrazująca napór na Bałkany z zewnątrz (Niemcy, Rosja, Italia) oraz sprawy wewnętrzne, dzielące państwa bałkańskie (rewizjonizm Węgier i Bułgarii) (B.I. 5430)

Grecja, Rumunia i Jugosławia kurczowo trzymają się neutralności. Ciągle jeszcze żywią nadzieję, że ta neutralność może je uratować. Zgoła inne stanowisko zajmuje największe z państw bałkańskich: Turcja. Mówimy największe nie dlatego, żeby terytorium tureckie na Bałkanach było wielkie. Wręcz przeciwnie niewiele Turcji pozostało na tym półwyspie, który sto lat temu cały prawie był jej własnością. Chociaż jednak Turcja jest przede wszystkim mocarstwem azjatyckim, tym nie mniej uważa się ona za państwo bałkańskie. Do bałkańskich jej posiadłości zgłasza pretensje Bułgaria. Przede wszystkim jednak Turcja zaniepokojona jest ambicjami włoskimi, skierowanymi ku Anatolii. Turcja nie chowa głowy w piasek; nie zawahała się przed formalnym przymierzem z Anglią i Francją. Nie weszła jeszcze do wojny, tak samo, jak nie weszły do niej i Włochy. Wiadomo jednak jest wszystkim, że w chwili gdy jakiekolwiek wojska na półwysep bałkański wkroczą, Turcja się ruszy.

A ruszy się razem z nią i ta armia syryjska generała Weyganda, o której niedawno jeszcze nie wolno było pisać, a o której wiemy, że siła jej sprosta każdemu napadowi. Może ona mieć jeszcze przed sobą i inne zadania. Jest ona w Syrii tak, jak gdyby na zwrotnicy kolejowej, gotowa do wystąpienia na Bałkanach, ale również i gotowa do interwencji w Azji i w Afryce. Istnieją bowiem możliwości pozaeuropejskiego teatru wojny.

W Afryce wojna może rozgorzeć, gdyby Włochy weszły do wojny i zaatakowały Egipt. Wtedy armia syryjska i palestyńska znajdą się na miejscu, by walczyć wspólnie z armią egipską.

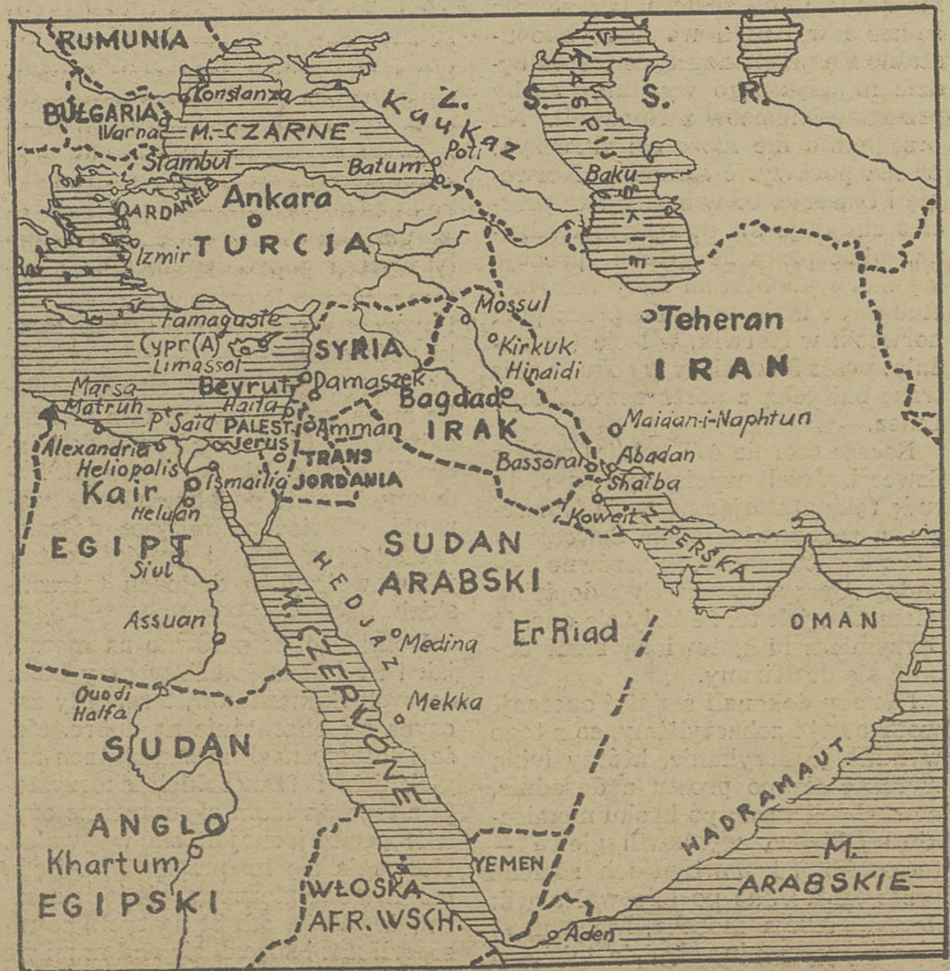
W Azji zaś istnieją aż trzy możliwości. Pierwsza z nich to atak na Turcję i Irak. Nafta Iraku jest bowiem bardziej jeszcze łakomym kąskiem od nafty rumuńskiej. A trzeba pamiętać, że jeszcze przed 1914 rokiem to właśnie Bagdad był celem ambicji niemieckich.

Druga możliwość to otwarte wejście Sowietów do wojny. Możliwość ta nie ogranicza się tylko do bezpośredniego ataku Sowietów na Turcję. Nawet gdyby bez tykania Turcji, Sowiety po prostu chciały, korzystając z zamieszania, powtórzyć fińską przygodę w Persji (tak samo, jak i Irak jednym ze źródeł nafty) Turcja i jej Sprzymierzeni by się ruszyli. Turcja bowiem od lat kilku związana jest z Persją, Afganistanem i Irakiem tak nazwanym paktem Saadabadzkim, obowiązującym do wzajemnej pomocy. Gdyby więc do tego wejścia Rosji do wojny dojść miało, to zapewne armia syryjska uderzyłaby na Kaukaz. To znaczy, że nafta bakijska zostałaby odcięta, a odcięcie od nafty oznacza dla Sowietów nie tylko niemożność prowadzenia wojny, lecz ponadto ruinę rolnictwa. Trzeba bowiem pamiętać, że i kołchozy i sowchozy są nastawione na traktory. Koń znikł prawie całkowicie ze zmotoryzowanego rolnictwa sowieckiego. Obecność więc armii syryjskiej jest czynnikiem wybitnie hamującym wszelkie plany Stalinowskie.

Trzecia wreszcie możliwość rozpętania wojny na Bliskim Wschodzie jest raczej teoretyczna. Trzeba jednak i o niej wspomnieć, gdyż prasa niemiecka o niej pisze, a propaganda niemiecka czyni wszystkie wysiłki, by możność tę zaktualizować. Tą trzecią możliwością jest powstanie arabskie, względnie wejście do wojny Ibn Sauda. Jeszcze przed wojną obecna propaganda totalistyczna dążyła do wytwarzania trudności dla Anglii i Francji na Bliskim Wschodzie. Gdy na przełomie 37 i 38 roku w momencie najsilniejszych walk arabsko-żydowskich, byłem w Palestynie, ani urzędnicy angielscy, ani obcy konsulowie nie taili tego, że broń znajdowana u powstańców arabskich była bronią niemiecką i włoską, że akcje Wielkiego Muftiego finansowały Berlin i Rzym. Dzisiaj akcja ta zbankrutowała. Arabi i Żydzi walczą wspólnie w armii angielskiej.

Mimo to jednak propaganda trwa. Idzie ona dzisiaj pod hasłem jednolitego państwa arabskiego, pod hasłem panislamizmu. Niemcy starają się namówić króla Hedjazu Ibn Sauda do wystąpienia, obiecując mu, że dopomogą mu zjednoczyć wszystkie kraje arabskie pod jego berłem. Egipt i Irak napewno zostaną wierne i powstań tam nie należy się obawiać. Ibn Saud zaś zbyt trzeźwym jest chyba politykiem, aby się dał uwieść berlińskim syrenom i naraził zdobycze całego długiego i sławnego życia w beznadziejnej walce o podbój innych krajów arabskich.

x x x



Mapka Bliskiego Wschodu, ukazująca stanowisko syryjskiej armii Sprzymierzonych (B. I. 5431)

Z życia obozów

Nocne ćwiczenia

Przy wieczornym rozkazie dowiedzieliśmy się, że będą nocne ćwiczenia.

Na dworze deszcz i mgła. Ciemno choć oko wykol. O oznaczonej godzinie podoficer służbowy przechodzi przez salę i zapowiada, aby przygotować się do zbiórki. Narzekamy na psią pogodę, ale co prędzej zabieramy się do nakładania płaszczy i starannego ich uszczelnienia koło szyi, aby deszcz nie lał się za kołnierz. Po pięciu minutach drużynowi wyprowadzają swe drużyny na plac zbiórki. Ustawiamy się w szeregach, trochę skuleni, co przy panujących ciemnościach uchodzi uwagi przełożonych. Pada komenda: „baczność". Podrywamy się. Na: „spocznij" już nie wracamy do poprzedniej „lekko skulonej" postawy, ale wykonujemy komendę tak, jakby to była normalna pogoda. Po pierwszym zetknięciu się z deszczem obawa przed nim ustępuje zupełnie, jak z wejściem pod zimny prysznic.

Droga mokra i lekko błotnista. Przychodzimy na miejsce codziennych ćwiczeń. Jak inaczej wygląda cała droga i teren. Przemierzyliśmy je za dnia po stokroć. A już kilku kolegów tak słabo się orientuje, że utrzymują, iż wybraliśmy zły kierunek. Niedługo stajemy na wyznaczonym miejscu. Tu kompania rozbija się na trzy plutony. Nasz porucznik rozchorował się, pluton poprowadzi sam dowódca kompanii.

Miejsce, z którego ma zacząć ćwiczenia nasz pluton jest jeszcze daleko. Dowódca nadaje od razu ostre tempo.Idziemy najpierw drogą, potem przecinamy teren wpoprzek przez rowy i krzaki. Słychać od czasu do czasu plusk wody a potem przekleństwo, na zmianę w języku polskim i francuskim, czasem zaplącze się soczyste słowo rosyjskie. To któryś z kolegów źle skoczył i wpadł w rów, ale oddział nie zważa, idzie na przód. Pechowiec wyskakuje czym prędzej z rowu, aby zdążyć za plutonem. Nie zazdrościmy kolegom, którzy mają „rkm-y".

Dochodzimy do drogi, idącej w głębi długiego wąwozu. Schodzimy po pochyłości w dół. Co chwilę ktoś poślizgnie się, karabin trąci o karabin, bluźnie błoto z pod ciężkiego żołnierskiego buta i ochlapie sąsiadów. Nic to, idziemy dalej. Docieramy wreszcie do wyznaczonego miejsca. Zbieramy się naokół kapitana, który wyjaśnia: „Macie małą próbkę, jak teren wygląda w nocy, w pluchę;ciężko iść, a jeszcze trudniej zachować się należycie. Na froncie często właśnie w takich warunkach będziemy działać. Do tego czasu musicie się nauczyć zręczniej chodzić, nie wpadać do wody, bo nieprzyjaciel usłyszy plusk, nie potykać się, nie uderzać karabinem o karabin, nie trącać bagnetem lub łopatką o jakikolwiek twardy przedmiot, bo to łatwo zwróci na nas uwagę nieprzyjaciela. Nie można gadać i palić papierosów".

Potem następuje wyjaśnienie zadania, jakie mamy do wykonania podczas dzisiejszych ćwiczeń: jedna drużyna ma iść, jako ubezpieczenie kompanii w marszu, reszta plutonu obserwuje. Idziemy tą samą drogą, którą przyszliśmy, zachowując się według udzielonych poprzednio wskazówek. Pierwsi idą pojedyńczo szperacze, badając drogę i pobliskie krzaki. Naturalnie nie idą samą drogą, a skradają się w ukryciu wzdłuż drogi. Robią to dobrze. Gdyby nie łącznik między nimi i resztą drużyny, nie tylko stracilibyśmy ich z oczu, ale nawet słuchem nie ułowilibyśmy ich obecności. W nocy, szczególniej, kiedy ciemno, dżdżysto, słuch więcej się przydaje, niż oczy. Tym większego znaczenia nabiera umiejętność bezszelestnego posuwania się zwłaszcza, że w nocy, dużo lepiej w otaczającej ciszy słychać najlżejszy dźwięk, szelest, odgłos kroków, poruszenie gałęzi.

Przez długi czas posuwamy się bez przeszkód. Nagle w przodzie, po lewej stronie od drogi, którą postępujemy, słychać terkotkę, która ma udawać nieprzyjacielski karabin maszynowy. To szperacze natrafili na nieprzyjacielski „ckm", który wykryty dzięki dobrej pracy szperaczy nie mógł wyrządzić szkody kolumnie głównej i wycofał się, nie spełniwszy zadania.

Drużyna ćwicząca posuwa się na przód. Słychać pojedyńczy strzał karabinowy. To nasi szperacze trafili na czujkę innej ćwiczącej kompanii i zaskoczyli ją od tyłu. Trudno było pchnąć kolegę z innej kompanii bagnetem tak, jakby to się zrobiło na wojnie z nieprzyjacielem, i mimo teoretycznego unieszkodliwienia czujka kropnęła ze ślepaka.

Po tym wypadku, który na ustach naszego kapitana wywołał uśmiech zadowolenia i gorzką uwagę pod adresem obcej czujki, posuwamy się dalej, przecinając ponownie teren przez rowy i krzaki. Szperacze wykazują swą umiejętność zachowania należytego kierunku. Wychodzimy na otwartą przestrzeń. Cały pluton obserwuje posuwających się przed nami kolegów - szperaczy. Trudno ich dojrzeć. Ale jeśli znajdą się trochę wyżej od nas i przypadniemy do ziemi, to w gęstej mgle na tle nieba zarysowują się od czasu do czasu ich sylwetki, jak zjawy jakieś z nieprawdziwego zdarzenia. — Pierwszy ze szperaczy zapędził się zbytnio w bok. Traci łączność. Po chwili odnajdują go koledzy. Dostaje lekkie ...przypomnienie.

Po paru minutach dochodzimy do punktu zbornego całej kompanii. Maszerujemy do koszar zabłoceni, trochę zmęczeni, ale pełni wrażeń. Jeden z kolegów opowiada długo i szeroko, jak to on świetnie prowadził szperaczy. Już w drodze sąsiad nadaje mu miano „zawodowego szperacza", miano, które przylgnęło doń na stałe. — Ktoś inny zwraca uwagę, że jeden z naszych „łazików" tchórzliwej trochę natury, który stale w czasie ćwiczeń dziennych przy forsowniejszym marszu zostawał w tyle i skarżył się, iż „już nie może", „już umiera", — tym razem trzymał się stale plutonu, nie został ani na chwilę za nami. Stąd jasny wniosek, iż bardziej bał się zostać sam po ciemku, niż „umierać". Obiekt złośliwych uwag kolegów wolał nie podejmować dyskusji na tak drażliwy dla niego temat i czym prędzej położył się spać.

Wszyscy poszli za jego przykładem. Cisza zaległa salę. *el-er*

Przyjechał do nas teatr

Przyjazd zespołu polskiego z Paryża poprzedziła konferencja oficerów oświatowych. Oficer oświatowy większej jednostki oświadczył, że przyjeżdża zespół, złożony z 17 ludzi, i trzeba teraz ustalić, kiedy i do kogo zespół przybędzie.

Co do przyjazdu to nie było dwóch zdań: każdy chciał zespół gościć u siebie, ale pomieszczenie? Kolejno wstawali referenci oświatowi poszczególnych jednostek, meldując, że absolutnie brak pomieszczeń... Więc może na wolnym powietrzu? Może zmajstrować jakiś wielki namiot?

Oba wnioski upadły. Nie ma tu żadnych amfiteatrów, pogoda bardzo niepewna, aktorzy nie będą grać, śpiewać, tańczyć po ciemku i na zimnie. Poza tym wyłoniła się kwestia, że niektóre oddziały będą zmuszone maszerować około 8—10 km w jedną stronę, by być na przedstawieniu. Ale że jesteśmy piechotą..., no i czegóż się nie robi dla miłości sztuki...

Ostatecznie w parę dni później otrzymaliśmy już formalny rozkaz: Teatr przyjeżdża dnia 14 kwietnia, pierwsze przedstawienie o godz. 15, drugie o godz. 19 w miejscowym kinie.

Na określoną godzinę przymaszerowują oddziały, przybywa dużo oficerów. Wielka, mroczna sala wypełnia się ludźmi i gwarem. Dzwonek jeden, drugi, wreszcie kurtyna się rozchyla. I z tą chwilą zaczyna się parę godzin bytowania w jakimś jak gdyby dawno przebrzmiałym, minionym śnie. Polska mowa, pieśń i tańce na scenie, i te kobiety — aktorki, też Polki z ciała i krwi... Zmieniają się na scenie poszczególne „numery", zmienia się i nastrój.

Na drugie przedstawienie zjawiła się znaczna ilość gości — Francuzów. Ponieważ większość pań przybyła z opóźnieniem, miałem nielada kłopot z wyszukiwaniem dla nich siedzących miejsc w zbitej ciżbie żołnierskiej. A że całe przedstawienie było improwizowane, przeto niektóre ławki szwankowały. Stąd też pochodzi śmiertelna uraza do mnie jednego kaprala z bródką, który miast patrzeć na scenę musiał przez cały czas podpierać kolanami i podtrzymywać rękami ławę, na której beztrosko się rozsiadły dwie leciwe matrony.

O pewnych brakach przedstawienia wolę powiedzieć teraz, anizeli na zakończenie, które z zasady powinno mieć happy end, t.j. dobry, szczęśliwy koniec. Otóż — moim zdaniem — na drugim zwłaszcza przedstawieniu trzeba było każdy występ poprzedzić krótkim objaśnieniem w języku francuskim — co zacz jest. Gawęda o staropolskich swatach, wymagała też komentarza w polszczyźnie potocznej, aktualnej. Wreszcie nieśmiertelny Chopin... Dla części była to uczta duchowa, o innych nie mówię. Powie mi ktoś: grał „Poloneza", „Mazurka" — rzeczy popularne. Ale ja wtedy patrzałem na twarze otaczającego mnie żołnierstwa... To prawda, że trzeba podnosić wzwyż. Ale stopniowo. Wreszcie zakończenie: fragment z Wyspiańskiego. Pytam żołnierzy, którzy wcześniej wyszli: „Co, już koniec?" „Nie, ale tam jakaś pogadanka..." O wnioski stąd łatwo.

Ale mówmy o przedstawieniu, obserwowanym z innego punktu widzenia. Więc przede wszystkim koncert Dygata. Wydobyć z takiego grata, jak to pianino, stojące na scenie, takie bogactwo tonów — na to trzeba być rzeczywiście wielkim artystą. Kiedy w „Polonezie" gromadzi się, narasta nawałnica potęgujących się, monotonnych dźwięków, w których słychać tętent cwałującej jazdy, przerywanej na krótko łagodnymi, jakby uspokajającymi tonami, wspomnienie dreszczem przenika serce: tak przed wrześniem słychać było łoskot nadciągającej burzy, tak odpychaliśmy od siebie wizję oczekującego nas kataklizmu.

Patrzyłem na twarze wydobywające się z mroku w pierwszych rzędach. Oto kapitan o surowej twarzy przytulił do siebie lewą ręką dziesięcioletniego chłopca i dłonią głowę mu osłania, jakby chciał zgarnąć i wbić mu w głowę wszystkie te tony, mówiące o dalekiej, utraconej ojczyźnie. Oto młody oficer francuski z żoną. Oboje zasłuchani. Tylko co jakiś czas spoglądają na siebie: „Wspaniałe".

Oto starsza dama o drobnych, szlachetnych rysach twarzy. Widzę ją, jak w ekstazie przymyka oczy, by nic nie rozpraszało napiętej uwagi. Obok siedzi dziewczyna w wielkich, amerykańskich okularach. Za każdym razem bije frenetyczne oklaski, a gdy Dygat swym miłym, wnikliwym głosem zapowiedział, że na bis zagra „Suitę", aż podskoczyła z radości w miejscu. A w pierwszych krzesłach z lewej strony cały rząd pań, których jedyną troską jest, czy aby założone nóżki, obute w piękne pantofelki, wystarczająco pięknie wyglądają...

W przerwie idą do kompanii szkolnej, gdzie jest pełno „cenzusowców". Wyciągają się do mnie na powitanie ręce. Ktoś obiecuje napisać sprawozdanie z życia szkoły dla „Polski Walczącej", inny umawia się ze mną o tygodniowe przysyłanie „Wiadomości" i „Słowa" zbierają po 10 centymów w całym plutonie, ale czytania mają, czytania! Inny znów łapie mnie — bez respektu dla szarży i siwego włosa na skroniach — za rękaw :

— Szefuniu, ale byczo zagrał tego Szopena?! Boże, jak dawno nie słyszałem dobrej muzyki! A ten „Mazurek h-mol", co?

W tem ktoś wpada w naszą grupę:

— Panowie, słuchałem popołudniowego komunikatu: Nasza brygada Podhalańska wyszła już na front!

— ...Nasze lotnictwo walczy już na froncie. Nasze łodzie podwodne...

Poprzez nagłe ożywienie wyczytać można w oczach wszystkich pytanie: „A my kiedy?"

Dzwonek. Zaczyna się druga część programu. Widzę go po raz drugi, toteż patrzę raczej na twarze słuchaczy, obserwując ich reakcję, ani-



Witold Wroński: W wiosennym słońcu (B.I. 5434)

żeli na scenę. Właśnie teraz tańczą wdzięcznie — rzekłbyś mały balet — dziewczątka w bieli, z wpiętymi w sukienki kwiatami, w rękach trzymają kwietne obręcze. Rytmiczne kroki i ruchy, sharmonizowane z muzyką wnoszą na scenę i widownię powiew dziecięcej świeżości, ujmują serca przejęciem, z jakim spełniają swą rolę zabawienia tych żołnierzy z obcego kraju — obrońców Francji i cywilizacji. A w głębi, poza szeregami żołnierzy, w cieniu, na schodach, stoją wzruszone matki tych dziewcząt, śledząc ich publiczny występ...

W drugiej części bezsprzecznie najbardziej się widzom podobały tańce. Doskonała była „polka, tańczona przez Francuzów przed laty— powiedzmy — 40". Stojący za mną żołnierz, którego twarde dłonie wydawały przeraźliwy a tak miły sercu aktora łoskot, powiedział z uznaniem dla artystki, tak swobodnie czującej się na scenie, że „to musi być warszawska dziewucha". On również, obserwując „francuską polkę" rechotał ze śmiechu i trącając powiedział:

— Patrzcie, patrzcie, teraz zabiera się do niej.

Cóż powiedzieć jeszcze o Eichlerównie, której głos brzmiał, jak surma bojowa w wierszu Lechonia czy Słonimskiego? Co o samym przedsięwzięciu zapoznania masy żołnierskiej z naszą sztuką? Przecież ci wszyscy górnicy, robotnicy rolni i przemysłowi, ci ludzie bez zawodu dotychczas byli na marginesie naszej kultury. Okazać im ją, dać jej zasmakować — to cel godny wysiłku.

Czekamy na występy innego zespołu. Wiemy już o „Polowej Czołówce Teatralnej Nr. 1", o przemundurowanej na wojskowo „Lwowskiej Fali".

Witold Wroński

Permission!

Co to było! Mój Boże! Jużeśmy sami skołowacieli. Przez dziesięć dni... jak zwykle przed świętami i podwójnie długich i nudnych!

Rano — szef z rozpromienioną miną (jako że i sam chciałby od nas trochę odetchnąć) oświadcza, że urlopy będą dla wszystkich. Sto gardzieli krzyczy gromko „hurra", i zaczyna snuć plany.

— Paryż — boskie miasto! Kawa z kremem, rogaliki...

...wanna, miękkie łóżko....

...no i siedzi się — miast kucać!

— Co tam Paryż. Nicea! Lazurowe wybrzeże!

— Wszystko furda. Nie ma to jak „Chateau" mojej „mareny"....

Fotografia rzeczywiście imponującego zameczku obchodzi wkoło a posiadacz tak „imponującej" opiekunki rośnie z dumy.

Tak było rano jednego dnia (pierwszego z dziesięciu!) Na drugi dzień — miny jak z komina. Szef już nie przed frontem (ze wstydu pewnie) oświadczył, że z urlopów nici. — Tylko 10 procent dostanie.

— Ano pojedziemy na urlop *per pedes apostolorum*, napić się wina w... dołkach.

I tak w kółko. Otumanieliśmy w zupełności i już nikt nic nie wie- dział. Na dwa dni przed ewentualnym wyjazdem stało się pewne, że tylko 10-u pojedzie. Szczęśliwców wybrano po sprawiedliwości. Tych, co mieli naprawdę ważne rzeczy do załatwienia w Paryżu.

Posiadacze „imponujących" opiekunek, wujków pułkowników, „starganych nerwów — wymagających wypoczynku" (w Paryżu!!!) i parę set franków do wydania na Montmartre chodzili ciemni jak noc.

Aż następnego ranka znów (pamiętna data!) spada jak grom wieść — wszyscy jadą na urlopy!!! Co to się działo. Wprawni we francuskim koledzy przez całą dobę pisali karty urlopowe — reszta trzepała, czyściła, pakowała.

Permission!

Starzy, podtatusiali koledzy — inżynierowie zachowali się niczym źrebaki wypuszczone ze stajni.

— Czy aby strawne wypłacą?

— Osiem dni — to czyni pięćdziesiąt parę franków, co ja z tym w Paryżu pocznę?

Ryzykant drapie się w podgoloną czuprynę i leci zbierać zaproszenia od szczęśliwców posiadających w Paryżu rodziny. Ten dał mieszkanie, tamten obiad, inny jeszcze kolacje... Jakoś to będzie. Byle się trochę przewietrzyć, nabrać nowej energii do pracy.

Wanna kusi, miękkie łóżko kusi, niejednego od kucania już reumatyzm w kolanach złapał.

— Pod jednym warunkiem tylko nie żałowałbym urlopu...

— ?

— Gdyby dziś wojna naprawdę wybuchła!

Co do tego zdanie jest jednomyślne. Wojna jednak niestety „naprawdę" nie wybuchła i towarzystwo zgromadziło się na „ostatniej" zbiórce, by odmaszerować na dworzec.

— Niech żyje Pan Szef!

— Niech żyje — niech żyje!

Szef się czerwieni, łapy ściska, życzy wesołych świąt.

Szeregi się deformują. Przedświąteczny bałagan. Czekamy. Ktoś z tyłu szepcze, że urlopy odwołane. Mało go nie pobito. Dywersant jeden — taki owaki!

...Noc. Pociąg dudni po szynach. Śpieszy się. Wiezie „permissionerów" na podbój Francji a Paryża w szczególności.

Tłok, duszno. W brydża grają, zapasy wyciągają.

W R... podchorążacy chcieli zwiać ekspresem — i Pan Bóg ich ukarał. Ekspres im zwiał sprzed nosa a miejsce w „permissionerskim" pociągu zajęli bardziej rozsądni (mniej wymagający), co przedtem na korytarzu się gnietli.

A dobrze tak podchorążakom. Ekspresu się zachciało. Ale pod rannym już Paryżem tośmy jednak „normalny" pociąg złapali i na miękkich siedzeniach pierwszej klasy się rozparli. Choć liznąć „oficerskiej" jazdy (a strach był, by nie wyrzucili, oj był!)

No i wreszcie Paryż.

Rozlazło się bractwo jak mrówki. Kawaleryjskie płaszcze, sztylpy, furażerki na bakier, co poniektóry elegant i buty skądś wykombinował, ostrogami brzdąka i we frenczu paraduje. Aż się Francuzy oglądają i cmokają — boć po wojskowemu naprawdę ta polska artyleria wygląda. A że jeszcze prawie każdy srebrny galonik bombardierski przed świętem zafasował — więc i za „sous-lieutenanta" w oczach szarej gawiedzi francuskiej uchodzi.

W pierwszych dniach można ich było zobaczyć wszędzie, gdzie się Polska na wygnaniu gromadzi. Potem jednak już zniknęli. Z innej atmosfery przyjechali i z tą paryską nic nie mieli do czynienia. Zapału i energii nie chcieli dać w sobie stłamsić narzekaniami i zbrojnym pesymizmem „Regence'u" czy „Vuil'a". Poszli na Paryż swoimi drogami, omijając swary i plotki.

Przywieźli ducha wojującej Polski. Poto na „permission" do Paryża się pchali — dodać tym, którzy tego potrzebują energii do czynu.

Taką to miał historię pierwszy „pokojowy" urlop artylerii. Drugi — da Bóg będzie już w Polsce, a przynajmniej z prawdziwego frontu.

Jacek Brzezina

Echa tygodnia

Król i buty

Anglia, Francja i Polska mają jeszcze jednego sprzymierzeńca i to sprzymierzeńca, który się już bije — Norwegię. Państwo to jest królestwem t.zn. takim krajem, w którym nie ma walk i intryg o najwyższą posadę, bo ta posada jest tam raz na zawsze obsadzona.

Posada królewska ma jednak swo je dobre i złe strony. Kiedy jest pokój, to — powiada naród — panuj bracie, używaj sobie, ile chcesz, tylko ładnie, pięknie i kulturalnie, jak na króla przystało. Ale kiedy wojna, to taki jest obowiązek królewski, że wtedy masz się zachować jak król, nie poddać się wrogowi, nie opuścić ziemi ojczystej pierwszy, ale ostatni. Jak kapitan na okręcie! A jak zginiesz, to zginiesz. Po to w czasie pokoju masz przywileje, żebyś pilnował naszego honoru w czasie wojny.

I tak było. Król Haakon żył sobie ładnie, pięknie i kulturalnie. Czasem pojechał na święta do krewnych, do Anglii, bo on jest, znaczy się, żonaty z rodzoną ciotką obecnego króla angielskiego Jerzego VI. Czasem skoczył przez morze tuż obok do Kopenhagi do króla duńskiego Chrystiana, bo to znowu jego brat rodzony. I syna podchował, Olafa, który się ożenił z księżniczką szwedzką i tak ładnie się spisał, że dzisiaj stary król ma już troje wnuków. Tylko nie zawsze była zgoda w królewskiej rodzinie. Bo jak przyszło lato, to stary król drapił się zawsze, żeby pojechać do Francji, do Nicei na błękitny brzeg, a królewicz szukał, gdzie jest jeszcze w górach śnieg, żeby, jak się da, pojeździć także w lecie na nartach. Większych zmartwień nie mieli.

Aż tu wojna. Zdradą weszli Niemcy do stolicy, podkupili, kogo się dało i już, już mieli złapać króla. Mieli taki rozkaz od swojego herszta Hitlera: złapać króla — za wszelką cenę, żywego albo umarłego, bo wtedy cały kraj się podda i wojna się skończy. Ale to się nie udało. Król opuszcza stolicę i w góry, między swoich wiernych górali. A Niemcy za nim samolotami. Zatrzymał się król na obiad — przylecieli, biją. Jedzie król pociągiem — nadlecieli, biją. Pięćset kilówki spuszczali z góry na pociąg. Nic z tego, nie trafili, a zresztą staruszek król od razu z pociągu i do norweskiego lasu.

Tak, tak, stary królu! Przedtem w Europie wiedziano tylko tyle, że masz 68 lat, że jesteś bardzo wysoki, że umiesz malować obrazy i grać na fortepianie. Ale teraz widzą wszyscy, że jesteś nie tylko wysoki, ale wielki, że nie tylko umiesz grać na fortepianie, ale i na strunach dusz norweskich, że umiesz wprawdzie malować obrazy, ale sam nie jesteś malowanym królem!

Telegrafował do ciebie brat, król duński: poddaj się bracie, tak, jak ja. Poddaj się, bracie, na co ci tego, po co ci tego? Czyż nie chcesz skończyć życia w pokoju?! Po co się masz włóczyć po lasach, ścigany jak dziki zwierz? Poddaj się, bracie! Ale stary król, zamiast rozkazu o poddaniu się, podpisał odezwę do narodu. Brońcie się, walczcie! Norwegia nie słucha obcych rad. Norwegia sama wie, co to wolność i honor. Norwegio walcz! Ja ciebie nigdy nie opuszczę!

I cała Europa odkryła głowy przed starym, siwym norweskim królem. Szczęśliwa w nieszczęściu Norwegia! Szczęśliwsza, niż Polska!

Ale czy wiecie, co szczególną sympatię zjednało staremu królowi wśród polskich żołnierzy? Buty! Francuskie dzienniki przedrukowały wywiad ze szwedzkiej gazety z królem Haakonem. „Od wtorku do soboty oka nie zmrużyłem, skarżył się stary król, i butów wcale — powiada — nie zdjąłem ani na chwilę".

O, biedny, stary królu. My Ciebie dobrze rozumiemy. We wrześniu 1939 r. nie zdejmowaliśmy butów i nie spaliśmy tygodniami. Łotry niemieckie biły w nas samolotami i czołgami, a my musieliśmy zdążyć do bitwy na własnych nogach. Oni i obiad zjedli i wyspali się i zawsze jeszcze byli przed nami...

A po tym niewola, ucieczka, a po tym góry i rzeki, i morza i obce kraje... Ale im odpłacimy za to. Za siebie, za naszych bliskich i za Ciebie, Staruszku. Za to ściganie bezbronnych ludzi, za bomby, za pożary i za wszystko...

Marian Rojek

Przegląd prasy

„LES POLONAIS VONT SE DECHAINER"

W poczytnym dzienniku paryskim „Paris - Midi" znajdujemy następującą wzmiankę o udziale wojsk polskich w walkach z Niemcami:

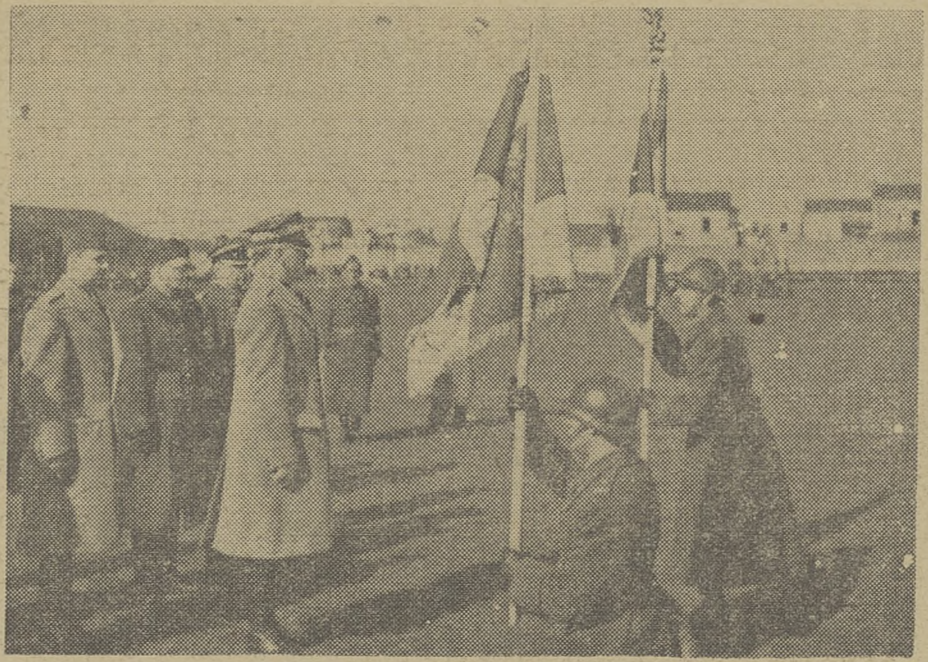
> „Dowiadujemy się dopiero teraz, że to właśnie polska łódź podwodna „Orzeł" zatopiła ostatnio jeden z największych transportów wojsk niemieckich — okręt „Rio de Janeiro" w momencie zbliżania się do portu norweskiego Kristiansand.
>
> Okręt podwodny „Orzeł" zdołał we wrześniu ub. r. wyjść z Gdyni i dojść do Tallina, skąd w sam czas uszedł i po podziwu godnej przeprawie przez Bałtyk przemknął się przez cieśniny Sundu i dojechał do portu brytyjskiego na Morzu Północnym.
>
> **Można sobie uświadomić uczucia, jakie ożywiają załogę „Orła" można sobie wyobrazić, jakich nieubłaganych przeciwników mają w marynarzach polskich marynarze niemieccy.**
>
> **Teraz zresztą wszędzie, na lądzie, w powietrzu i na morzu, Polacy zaczną szaleć (les Polonais vont se déchainer)".**

Piszący poniższe słowa walczył z Niemcami w Warszawie, a później wędrując przez Polskę ku granicy kilkakrotnie rozmawiał z żołnierzami niemieckimi. Na podstawie poczynionych spostrzeżeń mogę tedy z całą powagą oświadczyć, że o ile żołnierze niemieckie nie będą się czuć dobrze, kiedy zetkną się z Polakami. Może jakieś bardzo wyborowe nieliczne oddziały szturmowe będą uważały, że im to wszystko jedno, jakiego przeciwnika mają przed sobą. Można wyrazić nadzieję, że i tym śmiałkom dreszcz przejdzie po grzbiecie, kiedy wyczują, że z Polakami sprawa .

ODZNACZENIE CZESKIEGO LOTNIKA

Ostatni numer wychodzącego we Francji czasopisma czeskiego „Nasze Vojsko" (pisaliśmy już o nim w num. 4-ym „Polski Walczącej") — przynosi tekst rozkazu jednej z francuskich jednostek lotniczych. Dotyczy on nadania Krzyża Wojennego *(Croix de Guerre)* lotnikowi Czechowi z francuskiej grupy lotnictwa myśliwskiego Karolowi K., (nazwisko niewymienione ze względu na rodzinę w Czechach) za męstwo w walce z Niemcami. Mianowicie w dniu 3 marca b.r. lotnik czeski walcząc w grupie myśliwskiej nad terytorium niemieckim został ranny, pomimo to zdołał ugasić pożar na samolocie i wylądować na terytorium francuskim, chociaż ogień niemiecki uszkodził mu poważnie podwozie aparatu. *r.r.*

Wręczenie saperom sztandarów przyniesionych z Polski



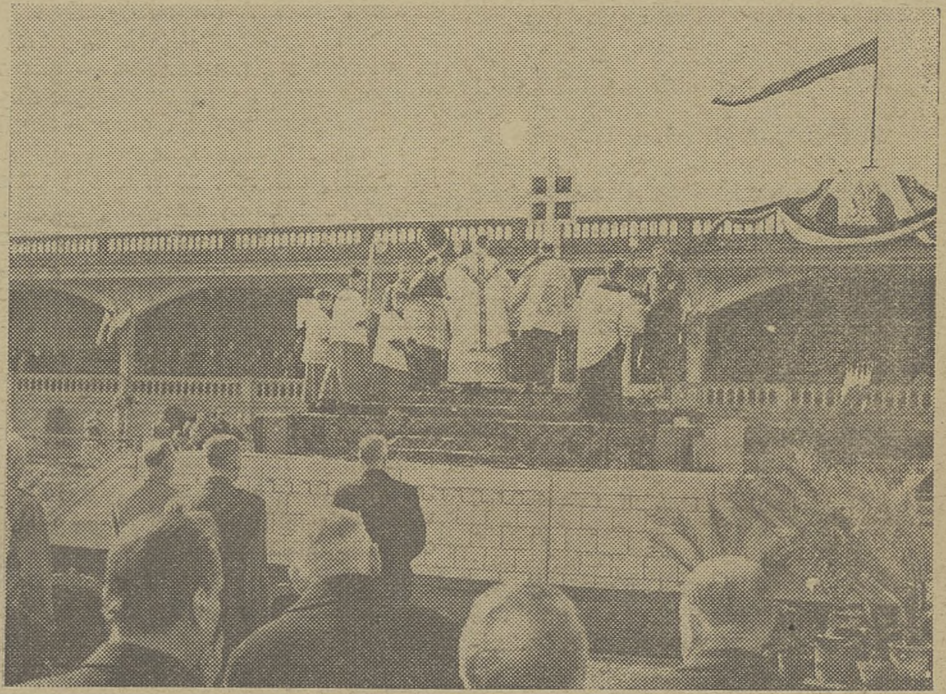
Naczelny Wódz wręcza sztandary saperom (74194)



Jeden z batalionów saperskich (74198)



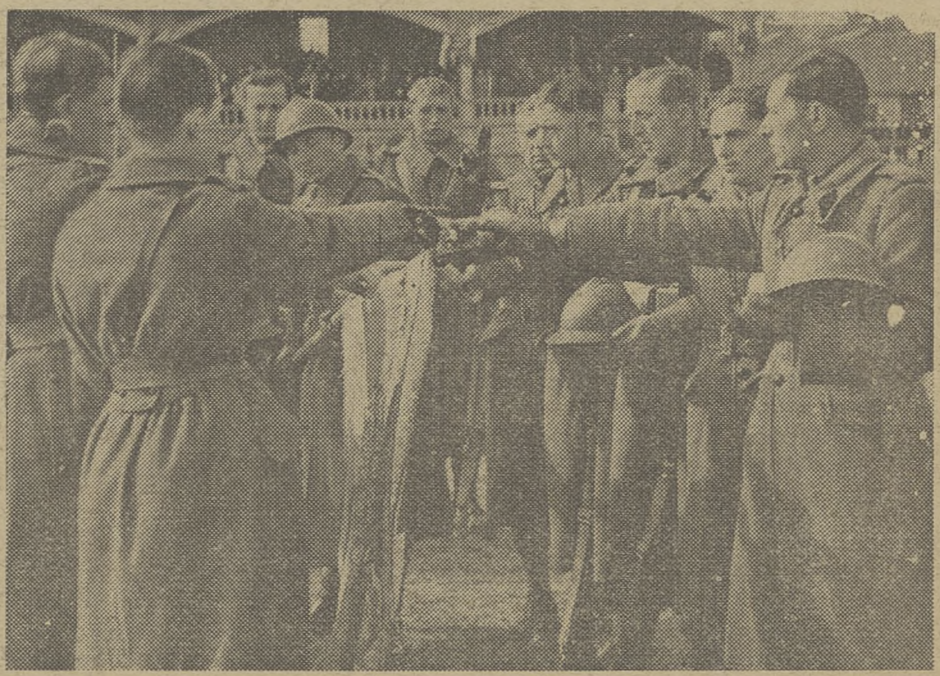
Prezydent Rzplitej, Naczelny Wódz i reprezentanci dyplomatyczni na mszy polowej. (74186)



Msza polowa (741?7)



Saperzy składają przysięgę (74184)



Przysięga na sztandar ((74183)



Defilada przed trybuną honorową (74191)



Sztandar salutuje Naczelnego Wodza (74192)

Pan admirał Hitler

Już w latach młodości przyszły wódz niemieckiego narodu zawarł znajomość z wodą. Z brudną, co prawda, wodą z balii ,w której jego matka przepierała mu gacie. Adolfek stał z boku i patrzał jak jego gacie w zetknięciu z cudotwórczym płynem odzyskują przyrodzoną barwę, tracąc ślady napadów strachu, którym tak często ulegał przyszły admirał. Wtedy zapewne nabrał przekonania, że woda jest dla niego łaskawym żywiołem. Z lubością moczył w niej swoje „platfusy", tamto i owo, nawet twarz — potwarz. Nie wstydził się wodogłowia i nawet chętnie pijał wodę.

Z małej pokraki wyrósł cwany bandyta, łajdak co się zowie. Najpród mordował swoich dla wprawy, potem ruszył na sąsiadów, by im poprzerzynać gardła. Czynił to podstępnie, z ukrycia, siedząc w niedostępnym schronie, własnoręcznie paląc dowody swoich ciągłych przerażeń. Raz po raz wysyłał na żer i łup, swoją szajkę, skradającą się z nożami za pazuchą, ku granicom bezbronnych, i łatwowiernych narodów. W końcu świat napojony wstrętem zerwał się i ruszył na poskromnienie zbrodniarza.

Ale ścierwu przewróciło się we łbie. Zaczęło mu się zdawać, że jest bogiem wojny. W powietrzu, na lądzie i na morzu. Że majcher i wytrych zastąpić mogą oręż prawdziwego żołnierza. Że pachołki kata to to samo, co walni obrońcy ojczyzny. Że ustęp, w którym knuje się spiski przeciw ludom może być tym samym, co kwatera główna obrońców prawa, walczących w imię tego, co jest najcenniejsze dla ludzkości.

Poszedł podbijać kraje, wyściubił nochal na morskie odmęty. Łatwiej było szczurzym śladem wdzierać się na cudze podwórka, niż popłynąć modrym szlakiem i spotkać się z wrogiem w otwartym boju. Śniła mu się może kariera korsarza, zapomniał jednak, iż najdzikszy przywódca piratów był zwierciadłem dobroci i szlachetnego gestu w porównaniu z nim, lądową pluskwą. Nie wiedział, bo skąd mógł o tym wiedzieć ten nieuk z Berchtesgaden, czym jest morski żywioł, czym męstwo ludu, który ten żywioł okiełznał. Zaczęło się wielkie pranie Adolfa - żeglarza. Dostał w kufę tak potężnie, że wypluł pół swojego uzbrojenia w zburzoną toń Skaggeraku, Kattegatu, Bełtu. Stalowa pięść Sprzymierzeńców nie przestaje ponawiać ciosów. Ze łba „Dolka - rozpruwacza" zleciał admiralski piróg, ukazała się w pełnym świetle twarz kryminalisty.

Nie — panie Hitler — machloja nie udała się wcale. Ukraść i obrabować ofiarę chwyconą znienacka za gardło odpowiada panu bardziej. Nikt panu nie zaprzeczy, że w dziedzinie skrytobójstwa i grabieży jest pan mistrzem, zwłaszcza, gdy się ma takich wspólników. Katorżników łasych na krew kobiet i dzieci. Lecz po oceanach żeglują mężczyźni, nie ma na nich cywilnej ludności, gdy przychodzi do starcia. Walczy się wręcz, terrorem, ani propagandą nie zajedzie się daleko.

Nie wiedział o tym admirał - nożownik, który chyba w matczynej balii uczył się morskiej strategii. Zaczął oczywiście bój od szmatławych chwytów. Kazał polować na kutry i barki rybackie, kazał posiać w morze tysiące min, zagrażających najbardziej niewinnym statkom handlowym. Łudził się, że nikt mu nie patrzy na palce. Z minami poradzono sobie prosto, cały ich „magnetyzm" nawalił szkaradnie, neutralne okręty płynęły w konwojach prowadzonych przez flotę Aliantów, czartowskie pomysły spełzły na niczym. Wtedy admirał skoczył do gardła małej Norwegii. Myślał, że bitwę na morzu wygrywa się także jakimś trikiem. Że to idzie tak łatwo, jak spuszczanie wody w klozecie. I pociągnął za łańcuszek. Wyobrażamy sobie, jak musiał się przerazić, gdy poczuł się tym, co tak chętnie spłukujemy wyżej wspomnianym mechanizmem. Runął w ciemny kanał — pokazano mu drogę na miejsce jego wiecznego spoczynku.

Pancerniki, słusznie przez tego złodzieje nazwane „kieszonkowymi" i inne dumne nawy niemieckiej floty poszły w otchłań. Połowa germańskiej armady przestała istnieć. Wtedy Sprzymierzeńcy nałożyli mu kaganiec, zabarykadowali całe niemieckie pobrzeże minami, odcięli od Norwegii, przedarli się na Bałtyk, i aż po Kłajpedę zagrodzili mu wszystkie wyjścia na morze.

Aż nadto pojmujemy, co się działo w Obersalzbergu, w ulubionej melinie admirała Hitlera. Dalszej garderoby zabrakło, praczki klęły z obrzydzenia, „wodzunia" miotało w jego dziupli. Nie chodzi nam jednak o admiralskie portki, nawet nie o jego sławę „matajca" z balii, tylko o nagi fakt, że Niemcy dostali w skórę, ledwo wychynęli na morze. rze.

Radość nasza jest tym większa, ponieważ w walce z admirałem brały udział polskie okręty. Przy boku najświetniejszej floty świata walczyliśmy w sposób mężny i skuteczny. Nie czas jeszcze wyliczać szczegółów naszego udziału w pogromie niemieckiej potęgi morskiej. Tym bardziej, że walka trwa. My Polacy mamy specjalnie nasze porachunki ze zbirami admirała Adolfa. Dobrze możemy sobie wyobrazić, z jaką ochotą wypływały polskie jednostki morskie na fale Morza Północnego. Jak musiały bić serca naszych marynarzy, gdy wdarli się na Bałtyk: Polskie Morze. Nie trzeba zapominać jednak, że admirał Hitler znowu wypełznie ze swej jamy uzbrojony w stryczek, majcher i wytrych. Znowu rzuci się chyłkiem na jakąś słabą, „wyliczoną" ofiarę. Wtedy trafi go pięść żelazna Sprzymierzeńców, wtedy i my Polacy będziemy na polu walki z krzykiem na ustach: za waszą i naszą wolność.

Marceli Tarnawa

Czytelnicy „Polski Walczącej" czytajcie „Biblioteczkę Żołnierską". Dotąd ukazały się następujące tomiki:

Nr. 1: Tadeusz Kiełpiński : Ku jakiej Polsce idziemy ?

Nr. 2-3: Władysław Sikorski : Słowa do Narodu i Wojska.

Nr.4: Stanisław Kato : Prawdziwe oblicze hitleryzmu.

Nr. 5: Konstytucja 3-go Maja (materiały do obchodów).

TEN TOMIK BĘDZIE W OBOZACH WOJSKA POLSKIEGO 29. 30 bm. i UMOŻLIWI ZORGANIZOWANIE OBCHODÓW ŚWIĘTA NARODOWEGO.

Cena zeszytu 2,50 fr., we wszystkich obozach Wojska Polskiego 0,50 fr. Adres Administracji: Lille (Nord), 20, rue Faidherbe (Centr. Komitet Obywatelski).

Demaskujemy wrogów

O straszliwym pogromie wojennej floty niemieckiej, o klęsce na wodach norweskich w Skagerraku i Kattegacie, radio niemieckie mówi niechętnie. W lakonicznych komunikatach radiowych zjawia się po raz pierwszy ton płaczliwy. Oto tekst dosłowny ostatniego komunikatu radia niemieckiego: „Flota niemiecka została podstępnie napadnięta przez przeważające siły angielskie". Niemcy, których cała akcja wojenna polegała dotąd na atakowaniu słabszych przeciwników, spotykały się z potęgą floty brytyjskiej. Gdy flota niemiecka została rozbita — Niemcy skarżą się na przeważające siły. W Czechosłowacji, Polsce, Danii czy przy napaści bolszewickiej na Finlandię działały zawsze siły przeważające i to Niemcy pochwalali. Przestało się im podobać, gdy sami poczuli na własnej skórze co to jest walka z silniejszym. Będą się musieli do tego przyzwyczaić, bo walka z Francją i Anglią — to walka z silniejszym. Krokodyl bezkarnie napadający na słabszych, pożerający kraje neutralne, po raz pierwszy poczuł swą bezradność. Pycha germańska nagle zmieniła się w łzawość liryczną. Ale świat nie da się oszukać łzom krokodyla.

★

Historia portu norweskiego Narwik w prasie i propagandzie hitlerowskiej nie jest pozbawiona humoru. Gdy Niemcy okupowali Narwik, radio berlińskie mówiło szeroko o tym, że jest to niezwykle ważny punkt strategiczny, port nie do zdobycia i ośrodek gospodarczy o wielkim znaczeniu. Obecnie, gdy Niemcy zostali wyparci z tego portu, który przeszedł w ręce angielskie, — Narwik gwałtownie zmalało. Radio niemieckie nazywa teraz Narwik małą osadą, na dalekiej północy, położoną niemal pod biegunem. Jak widzimy opinia o Narwiku jest teraz od wersji pierwotnej biegunowo przeciwna.

★

Zajęcie Danii i napaść na Norwegię otworzyła oczy izolacjonistom amerykańskim i wpłynęła na zmianę stosunku do Niemiec najbardziej zgorzałych pacyfistów. „Walka z Hitlerem — pisze „Time" — nie jest wojną. Można być przeciwnikiem wszelkiej wojny, ale trzeba rozumieć konieczność walki i obrony przed wściekłym zwierzęciem". „Teoria rasizmu - dodaje „Time" - przekonała nas. Dzięki Hitlerowi wiemy już, że świat dzieli się na dwie rasy: — na ludzi i na zwierzęta".

Nemo



Po bitwie na Morzu Północnym

Hitler: — Musisz się poświęcić dla narodu niemieckiego. Jestem piekielnie głodny.

Goebbels: — Dobrze, ale musisz najpierw zmienić ustawę. Dziś jest dzień bez mięsa!..;

(B.I. 5429)

Szukamy swoich

Stefan Mandecki — poszukuje Tomasza Gędłek, górnika, z Nawojowej Góry, pow. Chrzanów.

Bolesław Izydorek — poszukuje kuzyna Grzogrza Izydorczyka, zam. prawdopodobnie w Południowej Francji.

Paweł Przeszutkowski — poszukuje krewnego Furmanka z Klimontowa, koło Sandomierza.

Leopold Treter — prosi o podanie adresu Franciszki Polickiej z gminy Gostawiec, pow. Radomsko.

Stanisław Bartocha — poszukuje Marii Sołtys.

Jan Kokowicz — poszukuje Stanisława Dobrowolskiego z Brzezia, pow. Nieszawa.

Antoni Rybiński — poszukuje Zofii Kozioł oraz dzieci jej: Feliksa, Ludwika i Leokadii, pracujących w górnictwie.

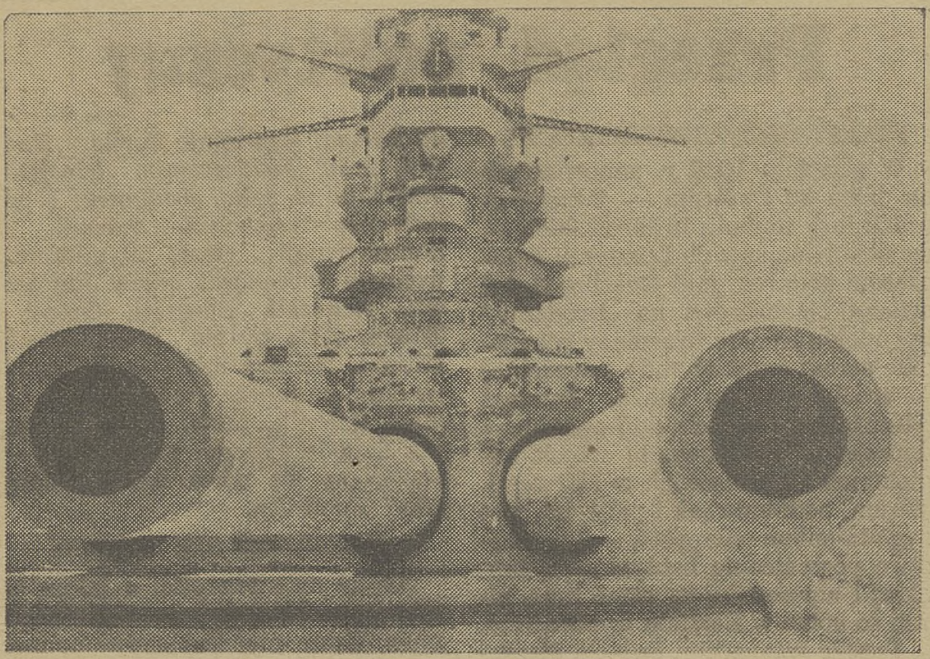
Zdzisław Krętowicz — poszukuje brata Mieczysława Matusa, byłego pilota z 6 pułku lot. we Lwowie.

Ludwik Mołodyński — prosi o podanie adresów Wiktora Mołodyńskiego, zam. prawdopodobnie w Charleville; Stanisława Mołodyńskiego i Marii Nyczówny, zamieszkałych w okolicach Paryża.

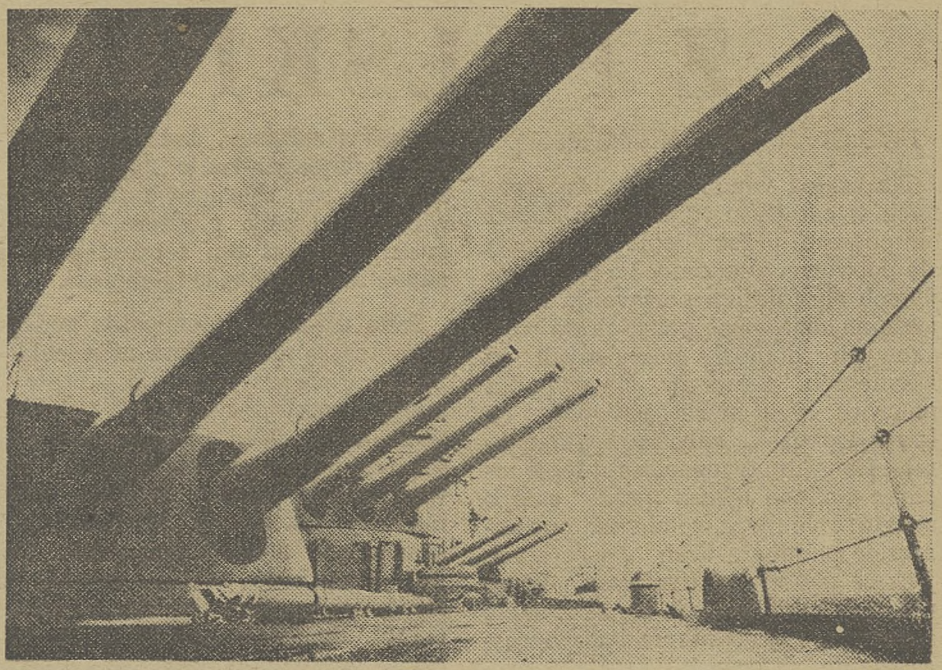
Tekla Górska — poszukuje Michała Hałatyna ze wsi Hałatowa, pow. Zborów.

Karol-Roman Fałkiewicz — prosi o adresy krewnych i znajomych: Władysława i Józefa Popielasa — Stefana Rosińskiego — Antoniego Grabarczyka — Władysława Latusiewicza — Emilii Herman oraz pp. Kapuścińskich z Pobianic.

Zgłoszenia do tego działu nadsyłać: Lille (Nord), 20 rue Faidherbe, opłatę dołączać w znaczkach pocztowych: 10 fr. (dla osób cyw.), 1 fr. (dla żołnierzy).



Olbrzymie armaty statku wojennego (51303)



Ciężka artyleria pancernika „Lord Nelson" (B.I. 5382)

Tydzień na morzu

Po zwycięstwie brytyjskim we fiordzie Narwik wojska angielskie i kanadyjskie wylądowały w kilku miejscach wybrzeży norweskich. Nowe transporty są w drodze. Komunikat ranny francuski z dnia 20 kwietnia donosi również o wylądowaniu wojsk francuskich. Jednym słowem Niemcom w Norwegii robi się ciepło, położenie ich nie należy do wesołych pomimo, że lepiej zaopatrzeni i uzbrojeni od Norwegów posuwają się w południowej Norwegii w głąb lądu.

Tymczasem zostali wyrzuceni z Narwik, na skrajnej północy i nie mogą połączyć swych sił desantowych z Bergen, Trondhjem z wojskami działającymi na południu. Dzięki górzystym, często więc niedostępnym terenom, Norwegowie zdołali zorganizować opór, a w środkowych i w północnych prowincjach przeprowadzili nawet całkowitą mobilizację.

Wszystko to mogło się stać jedynie dzięki wspaniałej działalności floty wojennej Sprzymierzonych. Flota wojenna Niemiec została zniszczona prawie w 50 procentach, a jeśli potwierdzą się pogłoski, że pancernik „Scharnhorst" (26.000 ton) i pancernik „Luetzow" (dawny „Deutschland" 10.000 ton) również są nie zdatne do użytku i na pół zatopione tkwią w jednym z fiordów norweskich to straty Niemiec na morzu może przekraczają połowę ich sił efektywnych.

Również straty w tonażu handlowym są ogromne, a przedarcie się przez pierścień min i okrętów brytyjsko - francusko - polskich na Morzu Północnym, na Skagerraku i Kattegacie jest niemożliwe. Niektóre statki niemieckie z wojskiem pomimo to próbowały się przedostać. To też 32 okręty poszły pod wodę, a między innymi wielkie transportowiec „Robert Ley" (24.000 ton) i piękny nowoczesny motorowiec „Rio de Janeriro" (8.600 ton) zatopiony przez nasz polski, sławny i bohaterski okręt podwodny „Orzeł".

Podkreślić należy, że prasa całego świata specjalnie wyróżnia polskie okręty wojenne, które niezmordowanie i skutecznie spełniają, wespół z Aliantami, swoją ciężką służbę w toczącej się bez przerwy bitwie.

Niemcy zaangażowali w niej wszystkie swoje siły. Że tak jest, najlepszy dowód w tym, iż od dn. 8 kwietnia do dn. 20 kwietnia od torped okrętów podwodnych niemieckich, zginęły tylko dwa statki angielskie „Stancliffe" i „Swanby", gdy dawniej ginęło ich w podobnym okresie czasu po kilka. Również jest bardzo charakterystyczne, że od chwili, gdy rozpoczęła się bitwa morska u wybrzeży Norwegii znikła nieomal zupełnie działalność lotników niemieckich nad morzem. Tak liczne do niedawna komunikaty o bombardowaniu statków Sprzymierzonych przez samoloty ucichły zupełnie.

Wszystko to są skutki niewątpliwie zwycięskiej akcji Sprzymierzonych na morzu. Choć z drugiej strony lotniska morskie i lądowe okupowane przez Niemców w miastach Stavanger, Bergen i Trondhjem niszczone są przez angielskie siły powietrzne z podziwu godną systematycznością i zaciekłością. Na Stavanger i Trondhjem było już kilkanaście nalotów brytyjskich i lotniska te tak dobrze jakby nie istniały. Droga zaś potwietrzna jest jedyną drogą łączności między niemieckimi oddziałami w Norwegii, a ich głównymi siłami w Niemczech. Nie pomogą posiłki przywożone po 40 żołnierzy w wielkich „Junkersach". Armat, tanków i amunicji samolotami się nie przewiezie.

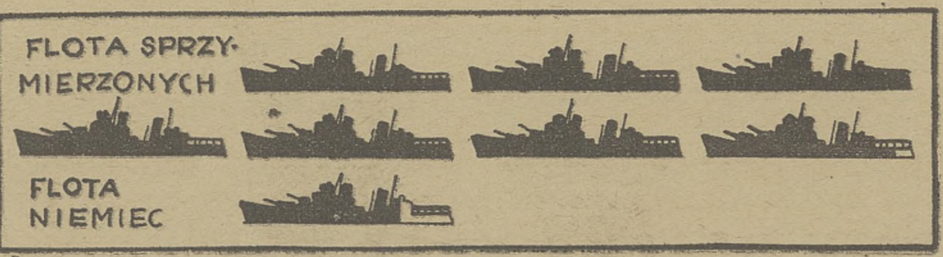
To też działanie na morzu ma decydujące znaczenie, a na morzu Anglicy wraz z Francuzami i Polakami są panami wyłącznymi. W ich ręku jest zwycięstwo przyszłości, choć nie trzeba się łudzić, aby ono przyszło łatwo i bez krwi.

Bohdan Pawłowicz

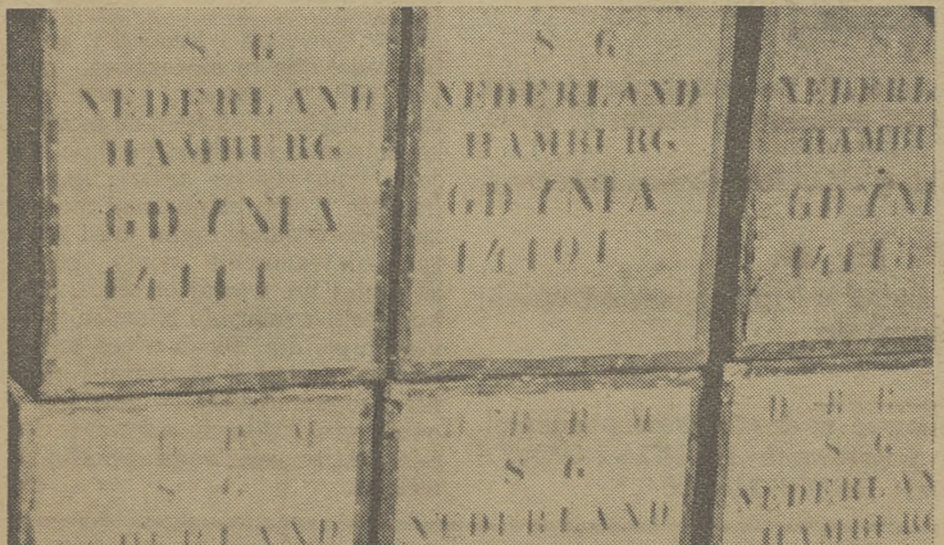
MARYNARKA WOJENNA NIEMIEC

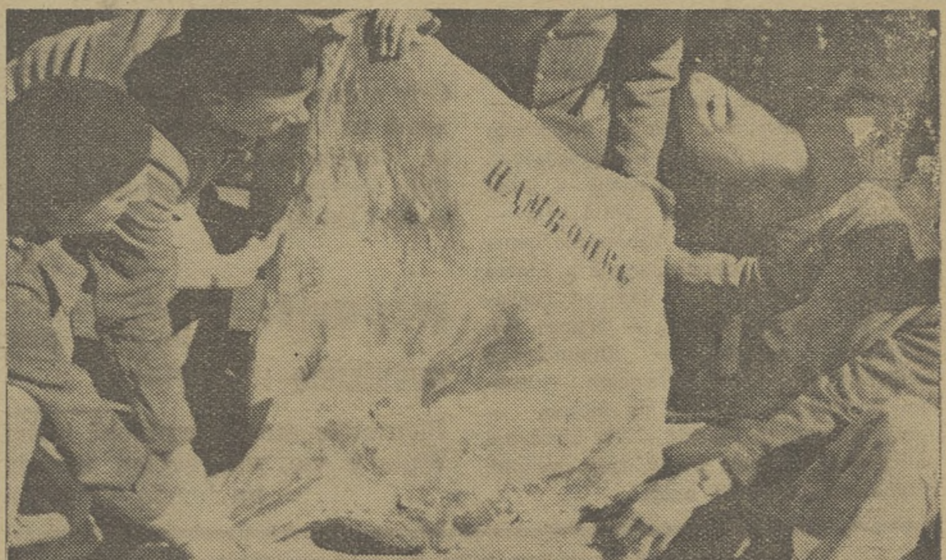
OKRĘTY WOJENNE	STAN NA POCZĄTKU WOJNY 31 VIII 1939	STAN OBECNY	W BUDOWIE DO KOŃCA 1940/41
PANCERNIKI	7	4	3
Tonaż ogólny	106.600	60.600	105.000
KRĄŻOWNIKI	8	4	4
Tonaż ogólny	55.400	*32.000	28.000
TORPEDOWCE KONTRTORPEDOWCE	34	21	8
Tonaż ogólny	46 460	26.450	14.490
OKRĘTY PODWODNE	71	20	70.100
Tonaż ogólny	31.282	15.000	30-45.000

Marynarka wojenna Niemiec utraciła od początku wojny 24 jednostki bojowe oprócz łodzi podwodnych. (B.I. 5427)



Zestawienie porównawcze flot Koalicji i Niemiec (miejsca białe na rysunkach okrętów oznaczają proporcje strat poniesionych przez obie strony) (B.I. 5428)





Skutki blokady Niemiec przeprowadzonej przez flotę Sprzymierzonych: towary, którenie doszły do niemieckiego Hamburga i okupowanej przez Niemców Gdyni. (B.I. 5435, 5436)

Z POLSKI

POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ

Na czoło wiadomości otrzymanych w ostatnim tygodniu z Polski okupowanej przez Niemców wybija się potworna wiadomość o ponawiających się faktach porywania i wywożenia dziewcząt polskich do wojskowych domów publicznych w Niemczech. Zdarzały się wypadki powrotu tych nieszczęśliwych do kraju wskutek zarażenia. Wiadomości o tych strasznych faktach zostały podane przez prasę całego świata. Być może, że obudzą one nareszcie sumienie tych pozostałych jeszcze państw neutralnych, które nie chcą lub obawiają się zdać sobie sprawę ze zwyrodnienia i zezwierzęcenia, do jakiego hitleryzm doprowadził naród niemiecki.

Obok wiadomości o męczeństwie kobiet polskich, doszły do Watykanu nowe potworne szczegóły znęcania się Niemców nad duchowieństwem w Polsce, zwłaszcza w Polsce Zachodniej. Około 600 księży pozostaje w obozach koncentracyjnych, na przymusowych robotach lub w więzieniach. Wielu księży zamordowano, bądź to stwarzając komedię „sądu", bądź w ogóle nie siląc się na stwarzanie nawet pozorów winy. W niewielu tylko kościołach mogą się odbywać nabożeństwa i to tylko w niedzielę w ściśle określonych godzinach.

Obok walki z kościołem Niemcy wypowiedzieli bezwzględną walkę całemu ruchowi społecznemu w Polsce. Szczególnym prześladowaniom ulegają organizacje robotnicze, przede wszystkim związki zawodowe. Wielu przywódców ruchu zawodowego wywieziono do Niemiec lub aresztowano. Cały majątek Związków zajęto i przekazano niemieckiemu „Frontowi Pracy", będącemu jak wiadomo organizacją partii hitlerowskiej.

Prasa niemiecka ujawnia plany władz hitlerowskich co do „urządzenia" ziem „wcielonych" do Rzeszy. Mają one być rezerwoarem produkcji rolniczej na potrzeby Rzeszy, ale zarazem ma w nich powstać przemysł związany z miejscową wytwórczością, a więc przede wszystkim przemysł rolniczy. Już obecnie hitlerowskie organizacje „planowania" zajmują się wyszukiwaniem odpowiedniej liczby pionierów, mających przemysł ten zorganizować i nadać mu charakter niemiecki.

Inne dzienniki niemieckie podają organizację szkolnictwa niemieckiego stworzonego przez okupantów w miejsce zamkniętych szkół polskich *na Pomorzu*. Według tych wiadomości organizuje się obok szkół powszechnych, szkoły średnie typu niższego, tak zwane „Mittelschule", oraz szkoły średnie normalne. Dotąd otworzono szkoły średnie w Bydgoszczy, Toruniu, Grudziądzu i Gdyni. Projektowane są w Chojnicach, Tczewie, N. Mieście, Starogardzie, Kościerzynie, Chełmnie, Świeciu, Nakle, Rypinie i Lipnie.

Z Poznania donoszą o zburzeniu tamtejszej synagogi. Pozostawia się fundamenty, które mają być zużytkowane na zbudowanie basenu pływackiego. Muzeum wielkopolskie, przechrzczone, jak pisaliśmy, na muzeum Fryderyka, ma być poświęcenie udowodnieniu „praniemieckości" Poznania i miast wielkopolskich. Jakimi metodami „naukowymi" Niemcy przeprowadzą takie udowodnienie „niemieckości" tej najbardziej polskiej dzielnicy Rzeczypospolitej, można się domyślać. Sąd poznański wydał wyrok śmierci na 45-letniego Stanisława Dudka z Pyzdr, rzekomo za przestępstwa przeciw Niemcom we wrześniu ubiegłego roku.

Łódź przechrzcili Niemcy oficjalnie na „Litzmanstadt" na pamiątkę generała niemieckiego, który tu walczył podczas wojny światowej. Do Łodzi przeniesiono siedzibę regencji z Kalisza. Dało to powód do wielkiej uroczystości hitlerowskiej w mieście, podczas której Greizer wygłosił przemówienie obiecując stworzyć z Łodzi „przedmurze" niemczyzny.

W Sosnowcu wprowadzono w urzędowanie nowe władze miejskie. Wszystkie nazwiska wymieniane przez prasę są niemieckie, mimo, jak wiadomo, niemal całkowitej polskości mieszkańców tego miasta.

Z Krakowa donoszą o wywiezieniu znajdujących się tam sztandarów krzyżackich, zdobytych pod Grunwaldem. Sztandary te gubernator Frank doręczył w Gdańsku Foersterowi.

Jerzy Pomian

SPIS TREŚCI NUMERU:

Przegląd polityczny

FRONT PRZECIWNIEMIECKI

W styczniu 1940 r. zapowiadano na dzień 20 kwietnia — jakichś urodzin czy imienin hitlerowskich — wejście Niemców do Londynu. Tymczasem podarek, jaki Goering złożył swemu Fuehrerowi na „urodziny" był niekoniecznie krzepiący niemieckie serca: zamiast rudy szwedzkiej — trochę starego żelaza. Zamiast triumfalnego wejścia do Londynu — depesza o wylądowaniu wojsk angielskich i francuskich w Norwegii. Wojna, podobnie jak i polityka, jest zagadnieniem następstw — i następstwa pogwałcenia neutralności duńskiej i norweskiej są nieco inne, niżeli to sobie w Berlinie wyobrażano.

Przede wszystkim światło długiego dnia dalekiej Północy — weszło wreszcie do głów poszczególnych rządów państw neutralnych. Dzisiaj zdają sobie bardzo dobrze sprawę i w Belgii i w Holandii i na półwyspie bałkańskim, że wojna obecna toczy się o wolność lub niewolę wszystkich ludów europejskich, że gdyby miały zwyciężyć Niemcy — to cała owa „niezależność" i „neutralność" małych krajów naszego kontynentu stanie się fikcją i to bardzo krótkotrwałą fikcją.

Rozumie to Holandia i wydaje zarządzenia, wprowadzające stan wojenny w całym państwie. Nie można pozwolić się zakoczyć, nie można zgodzić się, ażeby te 30.000 km^2 wydartych morzu — miało się stać nową „przestrzenią życiową" nienasyconego molocha niemieckiego.

Belgia oświadcza, że w razie napadu na Holandię, natychmiast przyjdzie jej z pomocą. Powołano nowe roczniki, wstrzymano urlopy w armii — lew belgijski, który widnieje na herbie państwa króla Leopolda czuwa na wschodniej granicy.

Ale, według wszelkich znaków ostrzegawczych największe niebezpieczeństwo zdaje się grozić państwom bałkańskim w ogóle, a Jugosławii w szczególności. Ogromna masa „turystów" niemieckich zapałała nagle gwałtowną chęcią rozkoszowania się cudami natury Jugosławii. Ponieważ tego rodzaju zamiłowania krajoznawcze są trudno zrozumiałe w okresie wojennym, przeto rząd jugosłowiański wydał bardzo ostre polecenia, dotyczące wszystkich niepożądanych i w Belgradzie i w całym kraju cudzoziemców — i mnóstwo Niemców znalazło się w kryminałach pod zarzutem szpiegostwa. Coraz częściej mówi się o wielkiej ofensywie niemieckiej w kierunku Belgradu i Salonik. *Byłby to powrót do dawnej koncepcji Berlin - Bagdad, przy jednoczesnym zdobyciu przewagi w całej środkowej i południowo - wschodniej Europie.* W konsekwencji: około 60 milionów wolnych dotychczas ludów Jugosławii, Rumunii, Bułgarii, Grecji i Turcji, stało by się niewolnikami Hitlera. Niemcy miałyby upragnione okno na morze Śródziemne w postaci Salonik, portu bez porównania dogodniejszego, niż Triest — i otwarłaby się nowa karta „sukcesów" Fuehrera.

WAHANIE SIĘ WŁOCH

Ażeby móc ten plan z jakim takim powodzeniem urzeczywistnić, musi Hitler mieć koniecznie po swej stronie Włochy, drugie po Francji mocarstwo śródziemnomorskie. *Według planów niemieckich, Włochy, sprzymierzone z Trzecią Rzeszą, stanowiłyby zachodnią osłonę niemieckiego pochodu na Bliski Wschód.* Linia tej osłony biegłaby przez ufortyfikowaną granicę alpejską, w dalszym ciągu przez Sardynię, Pantallairę (malutka, silnie ufortyfikowana wysepka między południową Sycylią a północną Afryką) i wreszcie przez Trypolis, afrykańską kolonię włoską. Jest tu oczywiście dążność do spowodowania takiego stanu rzeczy, aby Włochy, wyciągały dla Niemiec kasztany z bardzo gorącego ognia połączonych eskadr morskich, angielsko - francuskich. W tym celu gra Hitler na imperialistycznych ambicjach Mussoliniego — i na gwałt montuje silnie nadwyrężone pod koniec 1939 roku przymierze niemiecko - włoskie.

Od decyzji a nawet milczącej zgody Włoch, zależy podjęcie tych gigantycznych planów. *Czy Włochy zgodzą się na odegranie roli wasala Niemiec?* Z punktu widzenia kultury rzymskiej, chrześcijaństwa, cywilizacji łacińskiej i w ogóle posłannictwa dziejowego Włoch — *oświadczenie się Rzymu po stronie Niemiec byłoby czymś większym, niż zbrodnią.* Miejmy nadzieję, że nie dopuści do tego bardzo zasłużona tak dla Italii, jak i dla całej Europy — dynastia sabaudzka. Nie ulega również wątpliwości, że przeciw polityce wielkiej awantury, oświadcza się i Watykan i lud włoski. Czy jednakowoż te czynniki moralne będą przekonywającym argumentem dla Il Duce ?

Jeżeli można w sytuacji tak skomplikowanej wysuwać jakiekolwiek własne przewidywania — *to wydaje się, że bardzo duży wpływ na decyzję Mussoliniego powinny wywrzeć wypadki w Norwegii.* W Rzymie, posługując się przesłankami na wskroś realistycznymi i materialnymi — powinni sobie zdać sprawę z faktu, że jednakowoż flota wojenna niemiecka poniosła ciężką klęskę, że przestała być groźbą dla W. Brytanii i Francji i, że wobec tego, oba te mocarstwa, mogą bez żadnych trudności i obaw, przerzucić większość swych sił morskich na południe. A wszystkie linie kolejowe i największe arterie komunikacyjne Włoch biegną nad morzem, zarówno Śródziemnym, jak i Adriatyckim. Wszystkie porty włoskie są mniej lub więcej otwarte. Ryzyko klęski w obronie Niemiec przedstawia się dla Włoch więcej niż poważnie. Straty w Narwiku i cieśninie Skagerradzkiej — powinny się odbić wielokrotnym echem w Rzymie. Jest to przestroga aż nadto znamienna.

tk

Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.
WARUNKI PRENUMERATY : Francja: cena numeru 1.— fr.; kwartalnie 10.— frs.; półrocznie 18.— frs.; rocznie 35.— frs. — Kraje europejskie: cena numeru 1.50 frs. franc.; kwartalnie 15.— frs. franc.; półrocznie 28.— frs. franc.; rocznie 55.— frs. francuskich. — Ameryka: cena numeru 5 centów; kwartalnie 50 centów; półrocznie 1 dolar; rocznie 2 dolary

Koszty prac drukarskich tygodnika pokrywane są w czwartej części przez Zakłady Drukarskie „Narodowca" — tytułem dobrowolnego podatku na rzecz Wojska Polskiego

WYDAJE WYDZIAŁ PROPAGANDY I OSWIATY MIN. SPRAW WOJSKOWYCH I CENTRALNY KOMITET OBYWATELSKI WE FRANCJI

Adres Wydawnictwa i Administracji: 20, rue Faidherbe LILLE (Nord)
Adres Redakcji: Hotel „Regina", 2, place des Pyramides, Paris I., pokój 247.
W sprawach redakcyjnych przyjmuje się w czwartki, piątki i soboty od godz. 9 - 11-ej
Le gérant: Antoni Koziński, Lille.

Imp. Druk. M. Kwiatkowski — „Narodowiec", Lens (P. de C.) — R. C. Béthune 21.231.